

Nr 22 (845) Cena 1 zł 31.V. 1964r.

Przyjaciółka

TYGODNIK



1. VI. MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ DZIECKA

Foto K. Jabłoński

TAJEMNICZA WYSPA

OPOWIEŚĆ
FILMOWA

Legendarny kapitan
Nemo.

Juliusz Verne — francuski pisarz z dziewiętnastego wieku — był pierwszym twórcą powieści fantastycznych dla młodzieży. Kiedy jeszcze nikomu nie śniło się o łodziach podwodnych — Verne opisał fantastyczny „okręt podwodny” Nautilus. Kapitan Nemo przejechał na tym okręcie „20 tysięcy mil podmorskiej żeglugi”. Opisywał również Verne podróże do środka ziemi, i rejs na księżyc (w kuli armatniej!). Fantastyczne przygody przeżywały „Dzieci kapitana Granta” i rozbitkowie z opowieści o „Tajemniczej wyspie”.

Dziś nasze dzieci, wychowane w epoce sputników, odnoszą się z lekkim lekceważeniem do książek „papy” Verne’a. Obznajmione z techniką na co dzień, wylawiają z tekstów pisarza wiele nieścisłości.

Ale czyż ten pisarz z „okresu pary” mógł przewidzieć dokładnie do czego dojdzie geniusz ludzki w „wieku atomu”? Był i tak bardzo dalekowzroczny, opisując wynalazki, których dokonano już po jego śmierci.

O ile jednak z kart książek Verne’a wieje może staroświeckością, o tyle przygody jego bohaterów przeniesione na ekran — nabierają barwy i życia. Kinematografia — rozporządzająca ogromną gamą możliwości technicznych — nadaje się świetnie do przenoszenia fantastyki na ekran. Stąd wielka popularność Verne’a wśród filmowców. Już od lat przerabiano jego książki na film. Ostatnio angielscy filmowcy zekranizowali „Tajemniczą wyspę”.

Reżyser filmu, Cy Endfield, stosując się na ogół wiernie do tekstu Verne’a, wprowadził jednak pewne nowości. Przede wszystkim wydało mu się zapewne zbyt monotonne, że rozbitkowie z tajemniczej wyspy to sami mężczyźni. Na wyspę trafiają więc dwie kobiety, co od razu ożywia akcję i pozwala na leciutki wątek romansowy. Poza tym, na wyspie pojawiają się... potwory. Walka rozbitków z nimi pozwala twórcom na ciekawe, trickowe zdjęcia i rozwinięcie wszystkich możliwości kina w tym zakresie. Kraby, kurczaki i pszczoły wielkości... dużej, miejskiej kamienicy — to obrazy jakby żywcem wyjęte z przygód Guliwera w kraju olbrzymów. Uczciwie mówiąc mało to ma wspólnego z fantastyką Juliusza Verne’a, ale będzie na pewno z zachwytem przyjęte przez młodocianą widownię. Za to spotkanie rozbitków z legendarnym kapitanem Nemo — przebiega jak na kartach

książki. Sam podwodny statek „Nautilus” — jest taki sam, jak na zeszlachocnych ilustracjach do powieści.

Wielką zaletą filmu jest trafne wykorzystanie koloru. Angielski scenarzysta pokazuje nam rzeczywistość rajską wyspę: niebieski ocean, złote plaże, zielone palmy! Aż ciepło się robi człowiekowi od samego patrzenia. I to również w zgodzie z autorem, który taką właśnie wyspę opisywał.

Tak więc z czystym sumieniem możemy zaprowadzić dzieci (w wieku szkolnym) na „Tajemniczą wyspę”.

Z. K.



Kobiety przydają się ogromnie w życiu rozbitków (o czym zdawał się nie pamiętać Verne). To one piorą, szyją, gotują i... strzygą mężczyzn.



Przyjęcie pacjentek. Ta z czar-nym warkoczem wygląda bardzo nie-szczęśliwie...



Ale już znalazła się w troskliwych rękach.



więc znikną rany.



Uzdrowiona lala czeka



Cholerny szczeniak

Henryk Gaworski

NIE poznałem go, bo skąd. Przed dziesięcioma laty był trzynastoletnim smarkaczem, zupełnie niepodobnym do dryblasza, który ukłonił mi się w kawiarni. Podszedł do mnie ucieszony, przywitał się, a ja ani rusz nie mogłem zrozumieć, o co chodzi.

— Jak tam pani Iwona? — zapytał.

To jednak była niespodzianka. Aby ukryć zmieszanie, zawałem kelnerkę i zamówiłem kawę. Skąd ten chłopak mógł wiedzieć o Iwonie? I co wiedział? Przecież to już dziesięć lat. Bogiem a prawdą nie miałem pojęcia, co się z nią dzieje. Popatrzyłem na dryblasza, on na mnie, a oczy błyszczały mu jak u wilka. Musiałem jednak odpowiedzieć na pytanie.

— Dziękuję. Żyje.

— To fantastycznie! — zawołał ucieszony. — Chyba są państwo bardzo szczęśliwi?

— Owszem — odparłem. Ten chłopak stanowiąco za wiele sobie pozwalał, nawet jeśli brał mnie za kogoś innego.

— To fantastycznie! — powtórzył okrzyk, aż ludzie dookoła spojrzeli na nas z zainteresowaniem.

— Niech pan słodzi — podsunąłem cukier.

Ostodził i nachylił się ku mnie z poufałością, która wydawała mi się nieznośna. Coraz bardziej mnie denerwował. Najchętniej kazałbym mu odejść od stolika.

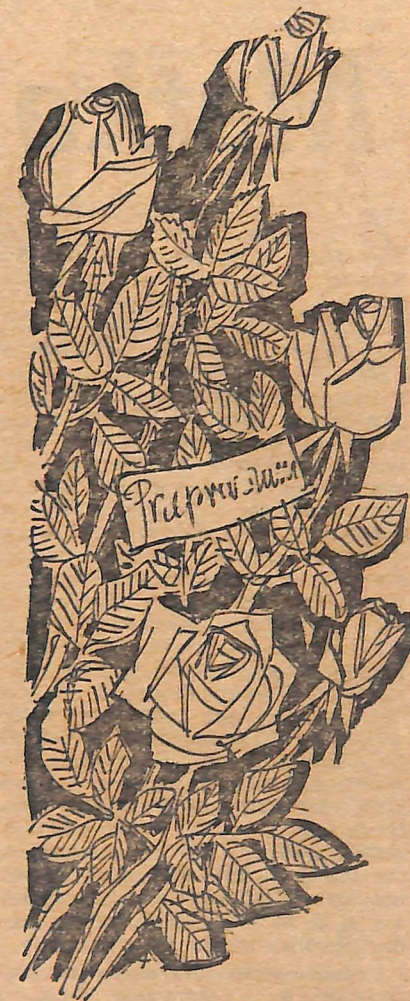
— Należy mi się kawa za te kwiaty w Międzyzdrojach, pamięta pan? Państwo byliście tacy nieszcześliwi, a myśmy państwa uwielbiali.

Wszystko wróciło. Iwona, miłość, zazdrość, kłótnie i zgody, cały idiozizm uniesień, które i tak zdały się psu na budę. Cholerny szczeniak.

Pracowaliśmy wtedy z Iwoną na koloniach letnich dla dzieci jako wychowawcy. Oboje byliśmy studentami, kochaliśmy się po szczeniacku, bezmyślnie i zachłannie. Szukaliśmy ukradkiem swoich rąk, spojrzeń, byliśmy zawistni o każde słowo skierowane do kogoś trzeciego, o najniewinniejszy uśmiech. Tylko ja o tym wiem, jakie to było niepotrzebne i jakie nie zastąpione. Warczeliliśmy na siebie z zazdrości jak psy, biliśmy się w furii powstającej z niczego, jak cyklon. Chwile niezgody były gwałtowne, lecz krótkie. Do cza-

su. Na kilka dni przed zakończeniem turnusu zerwaliśmy z sobą ostatecznie. Skreśliśmy się z cierpienia i tęsknoty, ale nikt nie chciał pierwszy wyciągnąć ręki do zgody. Dzieci, które były pod naszą opieką, szeptały coś po kątach, łasiły się jak koty. Dopiero później okazało się, że była w tym perfidna celowość, dojrzwowanie planu, który mógł się narodzić jedynie w najbardziej zielonych głowach, niefrasobliwych i czystych jak głowy ptaków. Już wiedziałem, że wyjedziemy z kolonii pogniwani z Iwoną na zawsze, bo choć każde nasze spojrzenie prosiło o darowanie win, usta mieliśmy zatłoczone ambicją jak gipsem. I wtedy, ostatniego dnia, znalazłem na stoliku w swoim pokoju bukiet róż z karteczką, na której było wykaligrafowane jedno jedyne słowo: „Przebaczył”. Zglupiałem z radości, wyleciałem z pokoju i w drzwiach zderzyłem się z Iwoną. Z zapłakaną, szczęśliwą Iwoną, która biegła do mnie podziękować mi za wielkoduszność i przeprosić za to, że to nie ona pierwsza, choć bardziej winna, uczyniła pierwszy krok do pojednania. Zglupiałem jeszcze bardziej, ale już nie z radości. Nie zapomnę kłótni, która wtedy nastąpiła. Ale byliśmy wreszcie razem i to zadecydowało. Już nie mieliśmy siły od siebie odejść. Dopiero później okazało się, że to te cholerne szczeniaki wpadły na pomysł z różami i jednobrzmiającymi kartkami z lirycznym słowem: „Przebaczył” i jednocześnie umieściły to wszystko w naszych pokojach. Byliśmy szczęśliwi jak nigdy, zrujnowaliśmy się na łody dla czterdziestorga petaków, z oburzeniem odrzuciliśmy zarzuty dyrektora ośrodka, który twierdził, że nasi podopieczni połamali mu w ogrodzie najpiękniejsze róże.

Myślałem o tym pijąc kawę i przeglądając się dryblasowi, wspominając tamte wakacje. Był przekonany, że Iwona jest moją żoną, a ja nie wyprowadzałem go z błędu. Nie przyznałem się, że gdy w dwa lata później, pokłóciliśmy się jak zwykle bez powodu, zabrakło dwu zwyczaj-



nych bukietów róż, które mogły zadecydować o wszystkim.

Po raz pierwszy w życiu czułem się głęboko zawstydzony. Czułem się jak złodziej, któremu powierzono opiekę nad skarbem i który ten skarb lekkomyślnie roztrwonil. Ten dryblas nie wiedział o tym, ale to nie nie zmieniał. Jego zaufanie, jego radość z nie istniejącego mojego szczęścia z Iwoną były nie do zniesienia.

A przecież on to szczęście ocalił. Czemu tylko raz? Cholerny szczeniak!

Z tomu opowiadań:
Odwiedziny
Wyd. Czytelnik 1964 r.

ŚWIĘTO NASZYCH CZASÓW

Są trzy święta, będące znamię naszej epoki. Święto Pierwszego Maja, które powstało jako sztandar walki ludu pracującego, Dzień Kobiet, który narodził się również w walce o prawa kobiet, i Międzynarodowy Dzień Dziecka — powołany do życia w trosce o prawo dzieci całego świata do szczęścia, do radosnego dzieciństwa, do nauki. W krajach kapitalistycznych wszystkie te święta są nadal dniami mobilizacji sił postępowych w walce z uciskiem, niesprawiedliwością, poniżeniem.

W naszym obozie, w krajach socjalizmu — święta te są dniami radości, dniami prawdziwie świątecznymi.

Nasze dzieci, otoczone troską i opieką naszego państwa, mają zapewnioną naukę, pomoc lekarską, mają place zabaw i ogródki jordanowskie, mają kolonie i obozy wypoczynkowe. Świętują swój dzień radośnie i wesoło. Obdarzamy je podarkami, urządzamy dla nich zabawy, radujemy się razem z nimi, że osiągnęły to, co dawniej było przywilejem nielicznych, przywilejem dzieci z zamożnych domów. Ale świętując radośnie ten dzień, nie zapominajmy, że i u nas są dzieci, które nie korzystają w pełni ze swych praw, jakie dał im nasz ustrój. Dzieci zaniedbane, odtrącane przez wyrodnych rodziców, krzywdzone nieraz ciężko. Ze tym dzieciom przyjść z pomocą musimy my — całe społeczeństwo. Ze nie wolno nam przechodzić obojętnie tam, gdzie dzieje się krzywda, zwłaszcza gdy przedmiotem tej krzywdy jest istota bezbronna — dziecko.

Kochamy gorąco nasze dzieci — ale zastanówmy się, jak ta miłość wygląda? Czy postępujemy właściwie z naszym dzieckiem, czy je rozumiemy, czy nie krzywdzimy go zbyt surowością, lub zbyt miłym pobbazaniem? Czy nie gasimy jego inicjatywy, jego zainteresowań narzucaniem swojej woli na każdym kroku, wiecznym strofowaniem i karceniem, lub też na odwrót — czy z nadmiaru troski i miłości nie wychowujemy go na egoistę, pyszałka i zarozumiałca?

Czy robimy wszystko, aby wychować nasze dziecko na pełnowartościowego człowieka, wdroić je do pracy dla społeczeństwa, nauczyć umiejętności współżycia z ludźmi? Nie są to zadania łatwe, ani proste. Wszyscy popełniamy tysiące błędów w stosunku do naszych dzieci. Ale każdy, kto powołuje do życia nowego człowieka — przyjmuje na siebie odpowiedzialność za jego przyszłość.

Trzeba nauczyć się patrzeć na własne dziecko, rozumieć jego potrzeby, trzeba na każdym kroku kontrolować własne postępowanie, ciągle pamiętać o tym, że dziecko bierze z nas przykład. Ze w miarę jak podrasta, zaczyna oceniać nasze postęпки, naszą postawę wobec życia i otoczenia.

Nie wystarczy kochać gorąco swoje dziecko — trzeba je kochać mądrze.

Wszystkim dzieciom w dniu ich święta życzymy wesołej zabawy, a wszystkim matkom i ojcom dużo radości i pociechy z „pociech”.

Już za dwa tygodnie

Jeszcze kilka ostatnich konferencji — i już 15 czerwca na salę obrad IV Zjazdu PZPR wkroczy blisko 1630 delegatów: 1340 wybranych na konferencjach wojewódzkich oraz 250 reprezentantów największych organizacji partyjnych w zakładach pracy, skupiających powyżej 500 członków PZPR. Delegaci ci, reprezentujący 1,5 milionową rzeszę członków Partii, przyjadą do stolicy ze wszystkich stron Polski, aby podsumować dotychczasowy dorobek kraju i wytyczyć drogi jego rozwoju na następnych 5 lat.

Wśród delegatów wybranych na Zjazd znajdują się przodujący robotnicy i najlepiej gospodarujący rolnicy, naukowcy, inżynierowie, czołowi działacze społeczno-polityczni.

Konferencje partyjne nie ograniczają się oczywiście do wyboru delegatów. Analizuje się na nich konkretne zadania danego terenu i środowiska, zgłaszane są cenne wnioski zmierzające do usprawnienia pracy na wszystkich odcinkach życia. Z przygotowaniami do Zjazdu łączy się też wielki ruch zobowiązań i prac społecznych, podejmowanych przez mieszkańców miast i wsi. Realizacja tych zobowiązań przynosi już gospodarce narodowej milionowe korzyści.

Na przykład kolejarze warszawscy, którzy we współzawodnictwie z innymi DOKP zajęli drugie miejsce w kraju, w czynnie przedzjazdowym wykonali już dodatkowe prace, wartości ponad miliona złotych. W województwie łódzkim racjonalizatorzy 272 zakładów pracy podjęli się opracowania w tym roku 6000 projektów racjonalizatorskich i 180 wynalazków, których zastosowanie powinno dać 143,5 miliona złotych oszczędności.

Projektanci krakowscy wystąpili z cennymi wnioskami, dotyczącymi przyspieszenia i potaniania budownictwa. Obliczyli oni, iż podwyższenie zabudowy w krakowskich osiedlach mieszkalnych dałoby dodatkowo kilkanaście tysięcy izb, przy czym koszt jednego metra kwadratowego powierzchni użytkowej wyniósłby tylko 1200—1300 złotych, a więc o wiele mniej, niż wynosi przeciętna krajowa. Drogowcy Rzeszowszczyzny, którzy swój czyn społeczny nazwali: „20 obiektów na 20-lecie”, wybudują nowe schroniska dla robotników służby drogowej, a szczecińscy członkowie Stowarzyszenia Elektryków Polskich opracują w czynie społecznym dokumentację na oświetlenie 100 ulic i placów w peryferyjnych dzielnicach swego miasta.

(Dokończenie na str. 7)

Matka i córka

ZA OKNAMI gwiżdże wiatr. Miotła nagim drzewkiem moreli, uderza w nie, szamocze jego konarami. Ale drzewko jest jeszcze młode i preżne, choćby szarpał nim nie wiadomo jak, nie złamie go. Tylko galezie trzeszczą, uderzają w okna, smagają szyby.

Helena podnosi głowę i z niepokojem patrzy w okno. Nie widzi nic, rolety są zaciągnięte, za nimi głęboka ciemność. W październiku szósta wieczór to już noc Co? Szósta? Helena drgnęła, oderwała wzrok od rolet i spojrzała na zegarek. Kwadrans na siódmą. Szybko odwraca stronicę zeszytu, który poprawia, patrzy, gdzie się kończy wypracowanie... Pośpiesznie podnosi i przelicza zeszyty, których sto pięćdziesiąt przed nią jeszcze nie poprawiony... dziesięć! Już kwadrans na siódmą! Nie, poprawi już tylko ten jeden, więcej nie. Dokończy, jak wróci, albo... zawahała się... jutro rano. Poprawia trochę na lapu capu, nie może się już skupić. Z wysiłkiem przebiega ostatni ustęp i bez namysłu pisze: „dobrze”. Gdymby zastanowiła się dłużej, może by dała dostatecznie, ale teraz jest zmęczona, i wydaje się jej, że ta trójka tylko jeszcze bardziej powiększyłaby jej zmęczenie.

Rzuciła zeszyt na stos już poprawionych, pośpiesznie ułożyła przedmioty rozrzucone na stole: ołówek, gazetę, słownik ortograficzny, i wstała. Przez chwilę nasłuchuje. W pokoju obok zaszeleściły stronicę książki, wyraźnie rozległo się westchnienie, po czym znowu odezwało się wycie wiatru.

Zgasła lampę i cichym krokiem, niemal bezgłośnie minęła drzwi i przedpokój i weszła do łazienki. Otoczył ją chłód i ciemność. Aha, o tym zepsutym kaloryferze trzeba zameldować w administracji. Dzisiaj o tym zapomniała, a on niczym się nie przejmując, zupełnie jakby miała sublokatora. Cała troska o dom spadła na jej barki. Weschnęła znużona, lecz kiedy światło oblało jej twarz, zniknął z niej chmurny wyraz. W lustrze widziała błyszczące, zielonkawo oczy, chmurę czarnych włosów, miękki owal brody. Zarumienione policzki — ale to pewnie od tego poprawiania, tyle zeszytów na raz! — nadawał jej wygląd młodej dziewczyny. Przysunęła twarz bliżej do lustra. Krytycznie przyjrzała się delikatnej siateczce zmarszczek wokół oczu i linii przecinającej czoło, i uśmiechnęła się. Jeszcze nie jest z nią tak źle!

Potem umyła twarz pod strumieniem lodowatej wody, pociągnęła usta kredką od warg, przyczesła włosy. Włożyła pantofle na wysokich obcasach: na niskich byłoby jej wygodniej, ale byłaby bardzo niska, a ona za wszelką cenę chce być wysoka!

Robiła wszystko pośpiesznie i nerwowo, z łazienki niemalże wybiegła. Najchętniej znalazłaby się już na ulicy. Mógłby jeszcze nadejść mąż i zapytać, gdzie wychodzi w taką pogodę. Musiałaby wymyślić jakiś wykręt, a okropnie tego nie lubi. I tak by zresztą przegrała, bo kłamać nie umie, on by natychmiast odgadł i tylko by się ośmieszyła. Przecież ma teraz prawo robić, co jej się podoba, po pierwsze dlatego, że nie ma wobec niego żadnych zobowiązań, a poza tym dlatego, że jemu jest wszystko jedno, co ona robi. Już od dwóch lat nie interesuje się tym, od czasu, kiedy jej wszystko powiedział i od kiedy zaczął sypiać w saloniku na tapczanie.

No i nie chciałaby się spotkać z Wierką. Może uda jej się niepostrzeżenie przemknąć przez hall i cicho zamknąć drzwi za sobą? Niespodzie-

wanie natknęła się na córkę. Wierka stała obok wieszaka w przedpokoju i badawczo spoglądała na matkę. W słabym świetle żarówki miała zmęczony wyraz twarzy. Cała była jakaś smutna i drobna. Kiedy indziej Helenę byłoby to może zastanowiło, ale dzisiaj musnęła tylko córkę spojrzeniem i podchodzić do wieszaka, ze wzrokiem utkwionym w płaszcz, powiedziała:

— Wszystkiego się już nauczyłaś? — Jeszcze niezupełnie, mamo. Gdzie znowu wychodzisz?

Głos miała zalekniiony, cichy, nie było w nim wyrzutu, raczej pewna czułość, ale Helena, nie wiadomo czemu, zirytowała się.

— Dlaczego „znowu”? Czy ja tak często wychodzę? Nie mogę przecież bez przerwy siedzieć w domu.

— Ja wiem... Ale muszę z tobą... Chciałam już dawniej... iakoś nigdy nam nie wychodzi, albo ty, albo ja nie mamy czasu... Ale dzisiaj bardzo cię proszę... Chociaż chwileczkę...

Teraz głos jej drżał, a w oczach migotał jakiś strach. Gdymby Helena na nią spojrzała, może wyglądałaby jakby ją powstrzymał, a może nawet całkowicie odwrócił od zamierzonej wyprawy. Ale Helena zamiast na córkę spojrzała na zegarek i stwierdziła, że wskazówka minęła już wpół do siódmej.

— Wiem, malutka — rzekła niecierpliwie, w pośpiechu wciągając płaszcz. — Rzeczywiście, zawsze coś nam wchodzi w parę... Ale chyba się nie pali? Jutro mam całe popołudnie wolne, o drugiej będę już w domu. Ty pewnie także? ...No, teraz już mnie nie zatrzymuj! Kolacja jest w piecyku, jak ojciec wróci, to mu odgrzej, wiesz, jaki jest niezręczny, na pewno by mu się wszystko przypaliło.

Chciała się roześmiać, ale jakoś jej to nie wyszło. Wierka cofnęła się pod ścianę, matce udało się ją jednak pocałować, gdzieś koło ucha, i już jej obcasiki stuknęły po schodach. Ale choć tylko przelotnie zbliżyła swą twarz do twarzy córki, obraz Wierki pozostał jej w oczach dziwnie wyraźny — blada, z głębokimi kregami pod oczyma, z jakimś niedzielnym wyrazem. Helena schodziła na dół z dziwnym chaosem w głowie i niezrozumiałym niepokojem. Co się stało Wierce? Za dużo się uczy? A może znów jakieś nieporozumienie z tym chłopcem?

I Helenie robi się naraz przykro. Wtedy w operze, kiedy Wierka go przedstawiła, sprawiło jej to prawdziwą radość. Siedemnastoletnia dziewczyna może przecież już pozwolić sobie na spotkania z chłopcem. Nie, ona nie jest zafanowaną matką, wie, że w tych sprawach Wierka jest już dorosła. Ale tych dwoje zaczęło od razu bardzo na serio. Całe dni spędzały razem. Kochają się iakoś inaczej, tak, jak kochali się młodzi ludzie za studenckich czasów Heleny. A jego rodzice — to rozdział sam w sobie. Ile kwasów wywołali między nią a Wierką na przykład w lecie. Kilkakrotnie prosili listownie Helenę, żeby pozwoliła Wierce spędzić u nich wakacje. Wierka codziennie błagała matkę, żeby ją puściła, chłopak zaś przez cały ten czas nie ruszył się z Bratysławy, dopóki się w końcu nie pokłócili. Wierka odważyła się oświadczyć matce, że ma zafanowanego, że jest zapóźniona o pół wieku, ale zaraz potem rozplakała się i prosiła o przebaczenie. — Jakże jej nie przebaczyć? Ale jakiś ból jednak pozostał. Widocznie Wierka o tym wiedziała, ponieważ nie była już z nią tak szczerą jak dawniej, zamknęła się w sobie, nie przychodziła

już do niej ze wszystkimi swoimi kłopotami i zmartwieniami.

Ale najgorsze w całej tej sprawie było to, że Helenie było z tym wygodnie, ponieważ ona sama miała w tym czasie podobne kłopoty. I na nią przyszło to, co jeszcze tak niedawno ostro i bezlitośnie potępiała... Na „stare lata” — jak to w pierwszych dniach mówiła sobie ze śmiechem — zawróciła jej w głowie. Wtęczyła z normalnego toru — miłość. Przestała wypytwać z niepokojem Wierkę, gdzie się wczynie wałęsa ze swoim chłopcem, bała się nawet słówkiem o tym napomknąć, w obawie, żeby Wierka i jej o coś nie zapomniała. Ale w ostatnich czasach Wierka zaczęła zaniedbywać naukę, wciąż jest jeszcze na drugim roku studiów. Nie, to wszystko musi się skończyć! Weźmie się do niej ostro. Na meza liczyć nie może. Przychodzi do domu jak obcy człowiek. Z pewnością żałuje już przwrzeczania, jakie jej dał dwa lata temu, że będzie mieszkał razem z nimi, dopóki Wierka nie ukończy studiów. Nie, tamta zupełnie go opętała. Nie ulega wątpliwości, że cała odpowiedzialność za przyszłość Wierki spada na barki matki.

— Jutro już na pewno — wzdycha Helena — a z tym chłopcem też muszę pogadać. Powiem mu...

Przed oczyma Heleny staje smukły chłopak, w krótkim popielinowym płaszczu. Doskonale ułożony, bystry, dowcipny. Chwyta w lot najsłabszą aluzję, nie jest w stanie wprowadzić go w zakłopotanie, świetnie tańczy, zna wszystkie najnowsze szlagiery. Helena marszczy brwi. Ach, jak ona nie znosi takich ludzi! W żaden sposób nie może pojąć, że właśnie jego spośród innych wybrała sobie Wierka, jej córka, dziewczyna, która przeczytała tyle dobrych książek, która ma tak rozwinięte poczucie piękna, prawdy, dobra. To prawda, chłopak się świetnie uczy, ma wybitnie dobrą pamięć, ale Helena — a do niedawna i Wierka — cenili w ludziach przede wszystkim



rys. A. Uniechowski

charakter. Tak, charakter. Nie, Helena przecież chyba nie myśli, że on nie ma charakteru? Dlaczego ustawicznie podejrzuje go o jakieś uboczne myśli, skoro nie może mu tego dowiedzieć, ani się o tym przekonać?

Jak to się jednak wszystko pogmatwało! Musi ingerować w sercowe sprawy swojej córki, ona, która za młodu zawsze twierdziła, że jej dziecko samo wybierze sobie towarzysza...

Potem przyszło jej na myśl własne życie. Została sama na świecie. Nie miała siostr ani braci. Rodzice umarli, kiedy była jeszcze młoda, mąż porzucił ją dla innej. Ciekawa rzecz! Dotychczas myślała o tym tylko czasami i zupełnie nie sprawiło jej to bólu. Bo miała córkę. Miała czo-

wieka, na którego przełała wszystkie swoje uczucia, o którym wiedziała, że kocha ją i jest jej bezgranicznie oddany... Skąd nagle takie myśli?...

Półmrok słabo oświetlonej uliczki przecięły reflektory trolejbusu. Pnie się pod górę, trzeszcząc i skrzypiąc jak zwykle, zakreca na środku placu i zatrzymuje się przed szpitalem. Podczas gdy pasażerowie wysiadają, Helena zerka na zegarek i ogarnia ją przestrach. Do siódmej niedaleko, przyjdzie punktualnie tylko w wypadku, jeśli będzie miała szczęście i złapie tramwaj. W końcu, cóżby się takiego stało, gdymby się raz spóźniła?...

Prawdziwie psia pogoda. Ale Helena taką pogodę uwielbia. Chodzą wtedy po ulicach nie poznawani przez nikogo, mniejsze jest ryzyko, że ktoś ich spotka. Jemu z początku jej obawy przeszkadzały — po co to, nie muszą przecież zdawać nikomu sprawy ze swego postępowania — ale później uznał jej argumenty. Niech Wierka się nie niepokoi nie wiadomo jak by to na nią wpłynęło. Może później, jak będzie starsza, lepiej zrozumie. Historia ojca wstrząsnęła nią, omal nie załamała się wtedy nerwowo. Ale to, że ojciec został razem z nimi w mieszkaniu, postawiło ją na nogi i przwróciło do życia.

Trolejbus zatrzymuje się już na rogu przed „Stefanką”. Helena szybko wyskakuje i pedzi do przystanku tramwajowego. Wiatr atakuje ją z całej siły, o mało nie poobrywa jej guzików od płaszcza. Jest już na drugiej stronie i wbiła wzrok w szeroką ulicę prowadzącą do Dworca Głównego. Ale na całej długości ulicy ani jednego światełka. A zegar na środku placu wskazuje za dwa naście siódma. Gdymby z góry nadjechała jedynka, przyszyby na czas, ale tak jest pewna, że nie zdąży. Ulica wciąż jest smutna i ciemna, od czasu do czasu przejeżdża jakieś auto, z przeciwnnej strony jedzie trolejbus — trzynastka, potem siedemnastka, ale tramwaju ani jednego. Helena spojrzała niespokojnie na swój zegarek i zaczęła biec w dół ulicy. Nie ma już sensu dłużej czekać. Za trzy minuty siódma. Idzie pośpiesznie, walcząc z wicherem, wpada na przechodniów, ale nie ma nawet czasu, żeby przeprosić. W końcu — Dunaj. Znajomy szum, zapach wody i jej wieczny ruch. Łańcuchy świateł, w dali ciemność. Helena odetchnęła z ulgą, rozejrzała się dokoła po pustej ulicy, a potem zmęczona oparła się o kamienną balustradę.

— Dobrze, że jeszcze nie przyszedł — powiedziała niemal na głos. — Przynajmniej odsapnę. — Ale natychmiast spojrzała na zegarek, choć patrzyła na niego dopiero przed paroma sekundami. Dokładnie kwadrans po siódmej. Spóźniła się więc o całe piętnaście minut. Ogarnął ją niepokój. Jego jeszcze nie ma. A może już go nie ma?

O, ktoś nadechodzi. Nie, to nie on, to jakaś kobieta z torbą na zakupy w ręku. Helena odwraca głowę i staje twarzą do Dunaju, jak gdymby interesowała ją jego czarna toń, ale czuje, że przechodząca kobieta przewierca ją wzrokiem, nawet kiedy ją już minęła, jeszcze się ogląda. Helena robi się naraz przykro, ogarnia ją jakiś straszliwy wstyd. W duchu zażdrości tej kobiecie. Spiesz się z zakupami do domu. Z pewnością cieszy się już na myśl o twarzach swoich dzieci, swego męża.

Kobieta jest już daleko. Helena odetchnęła, oderwała wzrok od huczącej wody, przelizguje się spojrzeniem po ulicy — w jedną i drugą stronę — i powoli rusza bulwarem przed siebie. Wiatr znowu szamocze jej płaszcz, smaga jej twarz. Lepiej byłoby iść w przeciwnym kierunku, ale tuż przed nią Park Kultury, za chwilę by do niego doszła — i co dalej? Gdymby on już tu był, mogliby zrobić w tył zwrot i iść z powrotem.

d.c.n.

Przełożyła ze słowackiego E. W.

Wybory

Szarwark, czyli przymusowa robocizna przy budowie i naprawie dróg wiejskich, był pozostałością czasów pańszczyźnianych. Z szarwarku — prawdę mówiąc — nie było pożytku dla wsi. Półfurka o płytkich deskach, żeby konie nie przedźwignęły się, łopata, która ledwie zgarniała ziemię — każdy jakoś odrobił, co mu w dniówkach przypisano.

Przed sześciu laty, w roku 1958, w miejsce szarwarku specjalną ustawą utworzony został Fundusz Gromadzki. W przeciwieństwie do szarwarku, który związany był z posiadaniem ziemi, jest on obowiązkiem powszechnym. Wymierzany jest zarówno właścicielom ziemi, budynków, rzemieślnikom, jak i PGR, POM, spółdzielniom produkcyjnym, zlewniom mleka, gminnym spółdzielniom, tartakom i leśnictwom. Słowem — wpłaty na Fundusz Gromadzki obowiązują wszystkie jednostki gospodarcze na wsi oraz osoby prywatne.

Fundusz wymierzany jest w gotówce. Wymiarów dokonują gromadzkie Rady Narodowe, a wpływy przeznaczone są na potrzeby wsi. Są to kwoty niewielkie dla poszczególnych płatników, wynoszące od kilkudziesięciu do kilkuset złotych rocznie z gospodarstwa, zależnie od dochodowości, lub około 20 zł od osoby zatrudnionej w uśrednionym przedsiębiorstwie. Dla gromadzkiej rady fundusz nie jest jednak rzeczą bagatelą. Grosz do grosza i gromada ma średnio do 200 tysięcy złotych rocznie. Stanowi to przeszło 40 procent jej budżetu. A że pieniądze mają ściśle określone przeznaczenie, jak budowa i naprawa dróg, studni, wodociągów, nawierzchni ulic, ogródków jordanowskich, urządzeń przeciwpożarowych itp. — jest zatem czymś w rodzaju zaczątków gospodarki komunalnej na wsi.

Z KRZYWDĄ DLA WSI

Fundusz to sprawa wewnętrzna gromady. Nie znaczy to jednak, że istnieje kompletna swoboda w zarządzaniu nim. Tymczasem, choć przepisy są jednakoowe dla wszystkich gromad i obywateli, zdarza się — jak to miało np. miejsce w Miłakowie w pow. Morąg, że dziwnym jakimś przypadkiem 21 właścicieli domów nie otrzymało żadnego wymiaru. Inni znów rolnicy mieli zaniżoną dochodowość gospodarstw i tym samym niski Fundusz Gromadzki. Jeszcze innym nie przepisywano zaległości, pozostających z roku na rok. Nie zapłacili, więc darowywano im winy.

Można przypuszczać, że to nie przypadek spowodował podobne „pomyłki”. „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi”, więc uczciwi płatnicy czuli się skrzywdzeni i słusznie skarżyli Prezydium GRN o kumoterstwo.

W Strzegowie, w powiecie Miawa, przez cały rok ludzie nie otrzymywali zawiadomień o należnych od nich sumach

na Fundusz Gromadzki. Później ni stąd ni zowąd sypnęły się upomnienia i od razu wnioski do komornika. Podobnie lekceważąco i bez przestrzegania przepisów podatkowych postępowało Prezydium GRN w Lipowcu Kościelnym. Wszystkich płatników zawiadomiono o wymiarze Funduszu poprzez zbiorową listę, podaną do ogólnej wiadomości. Ludzie listy nie czytali, a tu sypnęły się kary za zwłokę.

Należności na Fundusz Gromadzki ściągają sołtysi. Na tym szczeblu do należności na Fundusz Gromadzki też podchodzi się niekiedy jak do rodzinnego długu: „Chcesz — zapłać, nie — to masz czas”. We wsi Gałajny w powiecie bartoszkim sołtys dopiero pod koniec ubiegłego roku przypomniał sobie o Funduszu Gromadzki. W powiecie Busko — Zdrój sołtysi prawie w ogóle nie upominali się o złotówki, tak potrzebne w każdej gromadzie. Podwójnie krzywdzono ludzi — rośli bowiem zadłużenia, których nikt, ani Prezydium GRN, ani sołtys, nie ma prawa umorzyć, i zarazem nie robiło się nic, z czego wieś miała pożytek.

LEKKĄ RĘKĄ

Fundusz Gromadzki można w pewnych wypadkach odrobić przywiezieniem węgla dla szkoły, piasku na drogę itp. Ale wówczas robocizną przelicza się według określonych stawek na gotówkę. Ta forma spłacania Funduszu Gromadzkiego nastrocza też niemało okazji do łatwego wymigania się od obowiązku...

W Łagowie, w powiecie opatowskim, dniówki równowartości kilkudziesięciu złotych odliczano z Funduszu tym, którzy pomagali w spisie rolnym. Ba! Były wypadki, że wystarczyło przy okazji zawiadomić sołtysa o mającej się odbyć naradzie w Prezydium GRN i za tę „fatygę” również odliczało się komuś tam dniówkę z Funduszu.

Jeszcze szczerzej potrzebowało gromadzką kiesz Prezydium GRN w Żyrardowie w pow. debickim. Pieniążki na drogi i urządzenia komunalne rozpyływały się niby na cele dobroczynne. Bowiem osobom biorącym udział w zbiórkach na opiekę społeczną... umarzono należności na Fundusz Gromadzki. W jednej z takich zbiorce „społeczniom” umorzono dniówki wartości 2.360 złotych, gdy zebrane dary, oceniane z nawiązką, miały wartość 1.807 zł. A zatem osoby zbierające datki na biednych, zarobiły więcej niż przypadła im podopiecznym.

KTO RADNEGO MA W ROBZIE...

Gromadzka władza wymierzająca Fundusz, gromadzka władza ma prawo w uzasadnionych przypadkach udzielać ulgi. Zrozumiałe, że strażakom, aktywnie uczestniczącym w pracach swoich drużyn, dającym konie do strażackich wozów, przysługuje jakaś rekompensata w obowiązkach na rzecz gromady. Nie wszystkim jednakowo, bo przecież są i tacy strażacy, którzy nie uczestniczą w zbiórkach i przy pożarach. Zgodnie z przepisami, komendant Straży powinien sporządzać imienny wykaz z ilością godzin i dni pracowanych przez strażaka. Tymczasem w wielu gromadach, jak na komendę, wszyscy strażacy bez wyjątku,

W GRUDZIELCU

NIE do wiary, a jednak czasami drogę do lepszego bytu rozpoczyna się od... wybicia okien. Tak właśnie jest w Grudzielcu, jednej z wielkopolskich spółdzielni produkcyjnych.

Jej przyszłość postanowiono oprzeć na dobrej hodowli. Ale jak tu liczyć na dobrą, wysoko wydajną hodowlę, skoro mury starej obory nie przepuszczają powietrza i słońca? Więc w Grudzielcu tłucze się stare mury wybijając nowe okna, betonując nową posadzkę, urządzając stanowiska dla bydła. Wkrótce znajdzie „dach nad głową” 80 szt. krów. Nie trzeba się będzie wstydić zespołowej obory. Czy opłacają się tak pracochłonne inwestycje? Już dziś zespołowa hodowla krów (55 sztuk) przynosi spółdzielni roczny dochód ponad 300 tysięcy zł. Średnia wydajność od sztuki — 2.850 litrów mleka. Nieźle, ale przecież nie jest to górna granica dobrej hodowli. Więc też czyni się starania, by zwiększyć wydajność krów.

Na „drugiego ogień” pójdzie następna złota żyła spółdzielni — chlewnia. Do starego budynku wkrótce dobuduje się nowy pawilon, przedłużając starą chlewnię o ponad 30 metrów. W roku ubiegłym dochód za trzodę (przeważnie bekony) wyniósł na czysto 210 tysięcy złotych. Zachęceni tymi wynikami spółdzielcy zwiększyli w roku bieżącym ilość hodowanych macior o 6 sztuk, tak że w sumie jest ich teraz 17. Do chwili obecnej „wydajność” takiej świnki sięga 10 prosiąt. Warto więc rozbudować chlewnię, by pomieściła 100 „pensjonariuszek”? Na pewno.

zwalniani są z wpłat na Fundusz Gromadzki.

W powiecie Sławno, również bezpodstawnie, przywilej korzystania z ulg został rozszerzony na radnych, członków Prezydium GRN oraz sołtysów. W Gródku i w Krynkach w Białostockiem, łaska miejscowej władzy w postaci ulg spływała nawet na rodzinny radnych, a w Tykocinie i na rodziny strażaków.

Kto wie, kogo by tam jeszcze szczerze obdarowano przywilejami, gdyby nie inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli, którzy skrupulatnie wejrzeni w te sprawy.

*

Około milarda złotych wyniesi rocznie wymiar Funduszu Gromadzkiego w Polsce. Milard złotych w garści gromadzkiej władzy, to kawał grosza. W tych gromadach, gdzie gospodarka Funduszem jest rozsądna, można się przekonać, jak wielkie ma on znaczenie. Buduje się wodociągi, chodniki, młodzież ma boiska, domy kultury. Rozwijają się czyny społeczne bo Fundusz Gromadzki pozwala na materialne popieranie wysiłków ludzi. Ale protekcjami, pobłażliwością, marnotrawstwem społecznych pieniędzy, jak to ma być często jeszcze miejsce, nie załatwi się dziur w mostach i nie usunie wyboi na wiejskich drogach. Gdy władza gromadzka jest pobłażliwa w ściąganiu niewielkich zresztą należności, a obywatele są opornymi płatnikami — w takiej wsi nie dzieje się dobrze.

BOJ

sezon kielni i miotka zakończy budowa szopy na narzędzia i (nareszcie!) postawienie solidnego plotu wokół spółdzielczych zabudowań. Za tym plotem na podwórzu już niedługo, ku podziwowi całej wsi, jeździć będzie ciągnik cudo — zamiatając mechanicznie dziedziniec potężnymi szczotkami. Ciągnik-nośnik (bo tak brzmi jego oficjalna nazwa) oprócz szczotek mieć będzie wiele innych narzędzi, przydatnych zarówno do prac podwórzowych jak i polowych, na przykład przyrząd do spychania obornika, opelacz, siewnik, grabiarkę itp. Trzeba za niego zapłacić 200 tysięcy złotych żywą gotówką. Dużo pieniędzy, ale bardzo się przyda — mówią spółdzielcy. Zresztą, stać już spółdzielnię na taki wydatek.

Oprócz okrągłego pół miliona złotych, z hodowli „wyciągnięto”: 224 tysiące złotych z 12 ha baraków cukrowych; 78 tysięcy złotych z 5 ha lnu; 60 tysięcy złotych z 3 ha grochu.

Plony 4 podstawowych zbóż wyniosły w ubiegłym roku 24 kwintale z ha. W sumie po odłożeniu 200 tysięcy złotych na odpisy, 90 tysięcy złotych na rezerwę, kilkunastu tysięcy złotych na cele socjalne —

nie licząc oczywiście kwot na bieżącą produkcję — dochód podzielną wyniósł (razem ze zbożem) 720 tysięcy złotych. Wypracowało go 6 członków spółdzielni gospodarujących na 240 hektarach ziemi.

*

OBRA gospodarka przydługa. W ubiegłym roku do spółdzielni w Grudzielcu przystąpił jeden z rolników indywidualnych — Kazimierz Karolczak, w tym roku znów jeden — Marian Rutkowski. Nie żałują swojej decyzji, tak jak nie żałują jej starzy spółdzielcy, którzy zarzykowali przystąpienie do spółdzielni przed 11 laty — Waleria Jańczak, czy Józef Walczak, którzy teraz, po doświadczeniu do odpowiedniego wieku, pobierają już rentę: 680 zł miesięcznie. Oprócz nich renty rodzinne pobierają wdowy Pelagia Szabłowska i Maria Walendowska.

Jańczakowa, mimo że rencistka, spokojnie w domu nie usiedzi, kiedy inni idą do roboty. Spisuje się tak dobrze, że niejedną młodą na polu wyprzedzi.

Spółdzielnia w Grudzielcu rozwija się coraz pomyślniej, nie więc dziwnego, że stale potrzebuje nowych wykwalifikowanych ludzi. W tym roku znów dla kilku młodych osób otworzą się okna na świat — skierowani zostaną na kursy szkoleniowe.

M. W.

WIEŚ TĘTNIĄCA ŻYCIEM

Ozdobną ceramikę z „Kamionki” w Łysej Górze, pow. Brzeski, spotkacie w każdym sklepie CPLiA. I nie tylko garnki, których „kosmetykę” widzicie na zdjęciu.

Spółdzielnia prowadzi produkcję w trzech kierunkach: wyroby na wzór ludowych, ceramika artystyczno-przemysłowa, płyty mozaikowe i wykładzinowe. Dużą część produkcji idzie na eksport do USA, Belgii, Austrii, do krajów Azji i Afryki.

Zaczęło się skromniutko. Najpierw była cegła, z której zbudowano budynki potrzebne spółdzielni, potem doniczki. Po trzech niełatwych latach, w 1952 r. stopniowo zaczyna rozwijać się produkcja artystyczna.

Członkowie spółdzielni nie zapominają też o pracy kulturalnej. Staje w Łysej Górze świetlica, tworzy się zespół pieśni i tańca. Ognisty krakowiak i zabawny kogutek rodem z Łysej Góry oklaskiwane były już we Włoszech, w Finlandii, a ostatnio w Zjednoczonej Republice Arabskiej.

Obecnie spółdzielnia „Kamionka” liczy 153 członków, zysk jej w 1963 roku wyniósł 1.214 tysięcy złotych. Łysa Góra, kiedyś wieś „zabita deskami”, dzięki inicjatywie i ofiarnej pracy mieszkańców przekształciła się w ośrodek tętniący życiem gospodarczym i kulturalnym.



Foto: KAZIMIERZ SĘDZIKOWSKI

EDITA MORRIS Kwiaty HIROSZIMY

Młody Amerykanin wynajmuje pokój w japońskiej rodzinie. Oczarowany jest urodą siostry gospodyni.

— Wcale nie wygląda pani na taki okaz zdrowia, żeby pracować tyle godzin — mówi wpatrując się uważnie w Ohatsu. — Właściwie, wie pani... w tym białym kimonie, z białymi kwiatami w ręku — wygląda pani jak duch.

— Jak duch? — Ohatsu patrzy w dół na bratki, które zerwała przed chwilą w ogródku. (Och, niedobrze! Siostrzyczka nie znosi aluzji do duchów ani do niczego, co ma jakikolwiek związek ze śmiercią). — Co pan chce przez to powiedzieć? — pyta drażącym głosem.

— Nic, po prostu jest pani taka wiotka i blada — prawie eteryczna, jak zjawa — wyjaśnia nasz lokator. W blasku gwiazd dostrzegam promienny uśmiech Ohatsu. Jakże musi nienawidzić tego młodzieńca, skoro się tak uroczko do niego uśmiecha! On bierze ten uśmiech za dobrą monetę i przysuwa się do niej.

— Ohatsu — zaczyna trochę zalotnie. — Faktycznie, to piękne imię! Czy dużo dziewcząt w Japonii tak się nazywa?

Mała siostra wyjaśnia mu, że legendarna Ohatsu jej imienniczka, popełniła samobójstwo z miłości i że ten romantyczny czyn upamiętnił ją po wsze czasy.

— Samobójstwo z miłości? O, to zupełnie coś w japońskim stylu! — wykrzykuje „Rykanin”. — A czy pani by to zrobiła. Ohatsu-san? Zabiłaby się pani z miłości?

— Och, tak, tak! — woła siostrzyczka z uniesieniem.

Oj! Przykładam czoło do szpary shoji i widzę zapamiętanie w oczach Ohatsu. Co się z nią dzieje? Wygląda na zakochaną. Lecz nie, po prostu jest gotowa do miłości. Tak, gotowa do oddania się, jak śliwka dojrziała do zerwania w jesienny poranek. Wstrzymuję oddech, zaniepokojona i zarazem ucieszona.

Ale Amerykanin myśli zapewne, że to tylko kokieteria. Widzę, jak wyciąga z bukietu Ohatsu biały bratek. Wpatrując się w wyrazistą twarzyczkę kwiatu, pyta cicho:

— Da mi pani ten kwiat na pamiątkę, Ohatsu?

Co on zrobił, nieszczęsny! Siostrzyczka patrzy nań tak wstrząśnięta, jakby zamiast bratka wyrwał jej serce. Zrywa się z miejsca, szarpie bukiet ku sobie i przyciskając go kurczowo do piersi pędzi do domu. W ciemności wpada na mnie z rozpędu.

— Ohatsu!!!

— Zostaw mnie, starsza siostro! — Biegnie do przepierzenia, wyciąga swój futon, (materac) rzuca go na podłogę i pada nań szlochając, z twarzą ukrytą w poduszce.

Co tu robić? Kiedy nie wiesz, jak wybrnąć z kłopotu — mawiała ciotka Matsui, bardzo mądra staruszka — przynieś więcej sake. Sake już nieraz wybawiło z kłopotu i zapewne jeszcze wiele razy wybawi, aż do końca świata. Wyciągam z wrzasku nowy dzban sake i idę do ogrodu. Stawiam go na stole (z uśmiechem, mimo że się dotkliwie sparzyłam) i mówię rzeczy banalne, spokojnie, uprzejmie, tak jak ciotka Matsui uczyła mnie postępować z czcigodnymi gośćmi, zwłaszcza z czcigodnymi mężczyznami.

— Lubi pan granie świerszczyków w blasku księżycy?

— Yuka-san, czy pani siostra gniewa się na mnie?

Zdaję sobie sprawę, że w tym momencie granie świerszczy może znaczyć dla niego nie więcej niż terkot maszyn do szycia, a blask księżycy — tyle co światło neonów. Sytuacja jest niezmiennie drażliwa, muszę ją czym prędzej ratować, w przeciwnym razie utracimy cennego lokatora.

Kiedy ktoś z moich dzieci grymasi, wkładam mu smoczek do ust; cudziemu ci należy dać do ręki kubek sake. Pije machinalnie, od niechcenia, jak ktoś gotowy wypić wszystko, cokolwiek mu dają, a ja mu raz po raz dolewam.



J. Buskiewicz

— Moja siostrzyczka jest okropnie nerwowa. Proszę się na nią nie gniewać.

— Gniewać się? Ja miałbym gniewać się na nią? — „Rykanin” kręci głową przecząco. — Do licha, to ja ją pewnie czymś uraziłem. Chyba wtedy, gdy wzięłem ten kwiat...

Zastanawia się nad tym, co zaszło, marszczy czoło.

— Ależ skąd, może pan być zupełnie spokojny — mówię drżąc na myśl o tym, że Amerykanin zapyta o bukiet Ohatsu. — Po prostu poszła się położyć. Widzi pan, u nas w Japonii wszyscy wstają o świcie, bo każdy musi wykonywać po kilka prac — to jedyny sposób, żeby... — (Oj! o mało nie powiedziałam: „żeby nie umrzeć z głodu”) — „żeby związać koniec z końcem — dodaje niezręcznie.

— Wiem, wiem — uśmiecha się nasz „Rykanin”. — Arubait! Moje szczęście, że wam potrzebny arubait, gdyż inaczej nie dostałbym tego pokoju. Cieszę się, że go mam, bo siedziałbym teraz na kupie ze wszystkimi turystami w tym szalowym supernowoczesnym hotelu. Przecież nie tego szukam w Japonii. Interesują mnie ludzie — rozumie pani? Dobry businessman ze mnie, co? — Sam-san śmieje się znowu, ale wyraz zaciętości nie znika mu z twarzy.

Siedzi wpatrzony w kolorową pogodę na dnie kubka, obracając go w palcach, aż blade ryżowe wino wypływa na zewnątrz.

Mój stary ganił po wsiach i miasteczkach po czternaście godzin na dobę, odwiedzając pacjentów, których najczęściej nie stać było na zapłatę. Ale on nie dbał o to. Interesowali go ludzie. Pewnie dlatego został lekarzem.

— A pan nigdy nie myślał, by zostać lekarzem?

— Oczywiście, że tak! Byłem nawet dwa lata na medycynie, ale potem takto umarł i... widocznie miał jednak za dużo bezpłatnych pacjentów. Gdy mama wyszła drugi raz za mąż, ojczym zaproponował mi pracę biurową w swojej firmie. To nawet niezła praca, ale czasem mi się wydaje, że powinienem być wytrwać i zostać lekarzem, jak ojciec.

Sam-san marszczy czoło, lecz po chwili wybucha śmiechem i mówi:

— Jedyne co dobre w tej pracy, to... że zaprowadziła mnie do Japonii. Chcąc się tu dostać o własnych siłach, musiałbym czekać do pięćdziesiątki.

Siedzi oparty o poręcz, prostując swoje długie nogi. Jego wzrok błądzi po wygiętym dachu naszego domku, zatrzymuje się na grzędce białych bratków, potem wędruje ku rodowej kamiennej latarni, płonącej w mroku.

— Tak, to właśnie to — mówi półgłosem. — Sadržawka, wiśnia. Wszystko jest doskonałe. Wie pani, w głowie mi się nie mieści, że czternaście lat temu spadła tu bomba atomowa. Miałyscie szczęście z Ohatsu.

— O tak — odparłam — miałysmy niesłychane szczęście.

Spojrzał na mnie bystro. Czyżby dosłyszał w moim głosie coś, co go zastanowiło? Chyba nie, jestem przecież taka opanowana. Z uśmiechem składam mu ukłon i w blasku gwiazd Amerykanin widzi tylko twarz... niesłychanie szczęśliwej kobiety.

Ach, jak ślicznie wyglądają te kolorowe rybki, ułożone na kopczyku białego ryżu! Kłęcząc na macie unoszę wieko pudełka z laki i zachwycam się gustownie przyprawionym obiadem, który przyniosłam mężowi. Nie mam nic innego do roboty, póki Fumio nie skończy rozmawiać ze swoim szefem. Widzę ich przez okno biura — rozmawiają stojąc.

Garaż to brudne miejsce, hałaśliwe, niemile woniejące i pełne przeciągów. Ale gdy zamykam oczy, potrafię pograżyć się w swoim własnym świecie, zapominam o otoczeniu i gotowa jestem w razie potrzeby czekać całymi godzinami. Kiedy Fumio poszedł do wojska, nieraz musiałam czekać na niego cały dzień. Każdej niedzieli, kiedy był na ćwiczeniach, czekałam na stacji w Hiroszimie wraz z setkami czy nawet z tysiącami — no, powiedzmy, setkami — innych młodych wojennych żon. Nagle uderza mnie myśl, że w sumie więcej czasu spędziłam czekając na Fumio, niż przebywając z nim razem. Pamiętam...

— Nakamura-san, może przyniesie pani gazetę do czytania? — pyta starszy mechanik, uprzejmy dla mnie jak zwykle. Z niskim ukłonem odpowiadam mu, by się nie trudził. O czym to myślałam? Aha, o stacji, gdzie czekałam na Fumio, o tym, jak się martwiłam widząc go w ogromnych butach wojskowych. Były tak wielkie, że mógłby włożyć z łatwością obie nogi do jednego. Łzy stawały mi w oczach na ten widok, ale zaraz potem wybuchałam śmiechem — taka już jestem.

d.c.n.

Przekład MARIŁ LESNIEWSKIEJ

Co nowego w księgarniach?

Ona, chłopka z dziada-pradziada, osiągnęła wysoki szczybel w hierarchii społecznej: dyplom lekarza medycyny. On, urodzony i wychowany w wielkim mieście, w inteligentnej rodzinie, doszedł do równie wysokiego szczebla: uzyskał dyplom inżyniera-architekta. Poznali się, pokochali, pobrali... Gdyby to była bajka, należałoby ją zakończyć słowami: „...i żyli długo i szczęśliwie”. Ale powieść Haliny Snopkiewicz pt. „Piękny statek” nie jest bajką. Pokazuje — jak to się zwykło mówić — „prawdziwą prawdę”, czyli normalne ludzkie losy, a te rzadko układają się jak w bajce.

Więc choć młoda lekarka i młody architekt pokochali się i pobrali — nie osiągnęli w tym małżeństwie szczęścia. Zamiast długich lat pogodnego współżycia przyszły złe chwile, niezrozumienie, rozstanie.

Powieść Haliny Snopkiewicz mówi jednak nie tylko o dziejach nieudanego małżeństwa. Bohaterka „Pięknego statku” opowiada na łamach tej książki o całym swoim niełatwym życiu, o swojej wsi rodzinnej, o jej mieszkańcach. Plastycznie rysują się nam troski i radości małej kieleckiej wioski, śledzimy jej rozwój, walkę z zacofaniem z postępem, poznajemy zanych, uczciwych ludzi. Na tym tle z żywym zainteresowaniem śledzimy osobiste perypetie bohaterki. Czy wyjedzie do Ghany, aby tam przez dwa

lata leczyć mieszkańców Afryki i w tym czasie dojść do ładu z własnym życiem? A potem — czy wróci do Warszawy? A może zamieszka w swojej wsi rodzinnej, by teraz je mieszkańcom nieść pomoc lekarską?

„Piękny statek” to ciekawa powieść. Warto dodać, że jej autorka sama przeżyła wiele lat na wsi kieleckiej i sama również studiowała medycynę. Stąd jej znajomość spraw, o których pisze. Książkę wydała Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Cena 15 zł.

Edmund Niziuski — „Wyra...” (Wyd. MON) Cena 8 zł.

„Wyra...” jest książką o „przypadku okupacyjnej”. Tak określa autorka powieść przez siebie napisaną.

Natalia Rollecze-Korombel — „Gang panny Teodory” (Wyd. Iskry) Cena 18 zł.

Zabawna historyjka w formie pamiętnika podlotka. Chętnie będą czytana przez młodzież i dorosłych.

Maria Zientarowa — „Wojna i mowa” (Wyd. Czytelnik). Cena 12 zł. Zbiór dowcipnych felietonów na temat współżycia na co dzień „trudnych młodzieży” i „starych rodziców”.

Robert Penn Warren — „Gubernator”. (Wyd. PIW) 2 tomy cena 24 zł. Przełożył Bronisław Zieliński. Jest najbardziej znana powieść jednego z najwybitniejszych pisarzy amerykańskich. Ciekawa pozycja dla tych, którzy interesują się polityką i politykami amerykańskimi.

WARTO spróbować

A jak pogodzić zakup książek przez klub z rolą biblioteki? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w Męcince, pow. Jawor, gdzie niedawno „Ruch” bogato wyposażył 2-tysięczny Wiejski Klub Prasy i Książki. Mieści się on pod jednym dachem z gromadzką biblioteką, która... od marca nie dostała ani jednej nowej książki, a najciekawszych „pozycji roku” nie widziała od bardzo dawna.

*

WYPOŻYCZALNIA odpłatna? Uważam, że ten pomysł jest naprawdę dobry — mówi Genowefa Kunecka, kierowniczka klubu. — Mam u siebie książki do sprzedaży. Ogląda je wielu, ale z kupnem gorzej. Gość klubowy nie chciałby wydać 30 zł na książkę, ale gdyby mu ją wypożyczyć, chętnie wpłaciłby złotówkę czy dwa złote. Warto spróbować takiej formy wypożyczania. Na pewno pomogłoby to u nas upowszechnić pożyteczne wydawnictwa, a więc i kulturę...

— Taka wypożyczalnia mogłaby się ulokować w naszej bibliotece — włącza się do rozmowy kierowniczka biblioteki, Janina Lichwa. — Nowości przyciągnęłyby zapewne wielu czytelników, którzy niewiele mają już do szukania w „normalnym” księgozbiorze biblioteki.

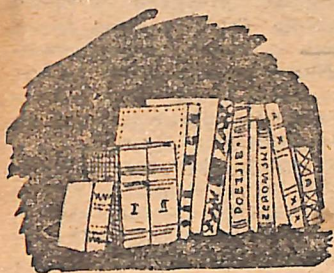
Pani Lichwa jest doświadczoną bibliotekarką i na jej zdaniu można polegać. Mówi nam jeszcze, że nie obawia się trudności przy zbieraniu opłat za wypożyczenia. Sąsiadstwo ułatwiłoby przekazywanie pieniędzy do kasy klubu, gdyby klub kupił książki.

*

Takich przykładów, gdzie sąsiedztwo klubu i biblioteki ułatwiłoby zorganizowanie wypożyczalni, można wskazać dziesiątki. A że głód ciekawych książek obserwuje się wszędzie, na pewno nie tylko w Męcince znaleźliby się amatorzy wypożyczalni.

Sam pomysł nie jest niczym ryzykownym. Odpłatne wypożyczalnie istnieją przecież w niektórych miastach. Prowadzą je prywatni właściciele — i to z niezłym zyskiem. Nie widzimy więc powodu, dlaczego nie miałyby na tym zyskać „Ruch” — skoro jednocześnie zyskają czytelnicy bibliotek.

JANUSZ TRZCIANKA



bardzo wiele osób, które zamiast kupować za 30 zł książkę po to, by po przeczytaniu odłożyć ją na półkę, wolałyby wypożyczyć ją za złotówkę — pisze Jan Okopień. I chyba ma rację.

We wspomnianym artykule proponuje się też, aby zestaw nowości był stale wymieniany, a książki, których wartość została opłacona dzięki kolejnym wypożyczeniom — były przekazywane do normalnego księgozbioru biblioteki. Powstaje tylko pytanie: kto wyłoży gotówkę na zakup zestawów tych nowości?

Biblioteki, jak już wspomnieliśmy, nie mają dostatecznych funduszy. A gdyby spojrzeć w stronę „Ruchu”? To przedsiębiorstwo notuje efektowny — i tak przydatny dla rozwoju kultury na wsi — wzrost liczby klubów prasy i książki. Pięć tysięcy klubów w bieżącym roku! Wydaje się, że przy milionowych wydatkach na organizację nowych placówek tego typu znalazłaby się chyba i gotówka na zakup 50 czy 100 książek do „zestawu nowości”.

MAMO, KUP MI loda



JESZCZE słońce dobrze nie przygrzeje, a już słyszy się to żądanie. Amatorów zimnego przysmaku nie brak i wśród dorosłych. W porównaniu z mieszkańcami krajów skandynawskich, Związku Radzieckiego, Czechosłowacji czy Ameryki, spożywamy dużo mniej lodów. Jednakże i my mamy na nie niezgorzły apetyt, skoro: w 1960 r. — zjedliśmy około 11 tysięcy ton, w 1963 r. — przeszło 13.100 tysięcy ton lodów.

Obok przyjemnej smakowej strony lodowego przysmaku istnieje jednak i strona przykra, która chytro ukrywa się pod wdzięczną nazwą: gronkowiec złoisty. Jest on — a ściślej jad zwany enterotoksyną — wrogiem naszego zdrowia. Oto niedawno przyszła wieść o ataku „złocistego” wroga w Jugosławii, gdzie zatrulo się lodami 1000 osób, a wkrótce potem u nas w Gdańsku z tych samych przyczyn zachorowało 300 osób. Właściciel tamtejszej wytwórni został zatrzymany, prokuratura bada sprawę.

„WYTWÓRNIĘ”

W jaki sposób można zapobiec powstawaniu niebezpiecznego jadu, jak uchronić przed nim ludzki organizm? Na pytanie to odpowiedziały nam instytucje zajmujące się sprawami naszego zdrowia.

W Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej dla miasta Warszawy informacji udzieli nam kierownik Działu Higieny Żywności i Żywności, inż. Zofia Maciesowicz.

— Lody, zawierające łatwo psujące się składniki, jak jajka i mleko, są idealną pożywką dla bakterii. Chodzi więc o to, aby nie dopuścić do rozmnożenia tych bakterii zarówno w trakcie przygotowania, jak i przechowywania lodowej masy.

— A więc czystość pomieszczeń i naczyń?

— Nie tylko. Trzeba zachować wszelkie wymogi technologii produkcji z punktu widzenia sanitarnego. Przede wszystkim schładzać masę lodową zaraz po pasteryzacji do temperatury poniżej 6° C. Hartować zaś lody w temperaturze nie wyższej niż 6° C i nie niższej niż 0° C.

— Podobno szczególnie szkodliwe jest spożywanie lodów z dnia poprzedniego?

— Tak jest. Lodów, które uległy rozmrożeniu nie wolno przerabiać, bowiem mogło w nich nastąpić gwałtowne zamrożenie gronkowca złoistego. Pasteryzacja co prawda go zabija, nie niszczy jednak jadu, który gronkowiec zdążył już wytworzyć; ten jad właśnie wywołuje zatrucie pokarmowe.

— W latach ubiegłych zdarzyło się kilka wypadków zatrucia lodami w miejscowościach podwarszawskich.

— To były lody miejscowej „fabrykacji”. Z chwilą przyłączenia tych miejscowości do Warszawy, nasza służba sanitarno-epidemiologiczna zabrała się do likwidowania takich „wyworn”. Co chała co dom — to produkcja lodów — w potwornym brudzie i niechlujstwie. Ludzie tam zatrudnieni często cierpieli na choroby skórne. A przecież przepisy sanitarne ustaliły, że osobom, u których występują choroby skór, wrzody, ropiejące rany, ropne zapalenie spojówek, nieżyty nosa lub gardła — nie wolno pracować przy produkcji żywnościowej, dopóki nie zostaną wyleczone. Do 1 maja bieżącego roku wszystkie zakłady musiały uzyskać zezwolenia dzielnicowych stacji San-Epid. na prowadzenie produkcji lodów. Z 72 przebadanych wytwórni 11 odpadło.

HIGIENICZNIE

Mówi dr Eliza Lewandowska, starszy radca w Departamencie Sanitarnej-Epidemiologicznej.

— Dążymy przede wszystkim do maksymalnego skoncentrowania produkcji lodów. Nie tylko po to, aby obniżyć koszty własne, ale przede wszystkim w celu podniesienia higieny produkcji. Dużą gwarancję dają lody paczkowane. W Nowej Hucie znajduje się obecnie w rozruchu wytwórnia takich higienicznie produkowanych lodów. Podobne fabryki powstaną i w innych miastach. Nie jest to jednak sprawa prosta. Każdą wytwórnię lodów trzeba przede wszystkim wyposażyć w odpowiednią ilość samochodów-chłodziń, w spółdzielniach mleczarskich trzeba zainstalować wielkie komory chłodnicze, do których lody dostarczane będą bezpośrednio przez wytwórnię.

A CO MÓWI PRAWO?

Sięgamy do „Polskiego Prawa Żywnościowego”. Jest to zbiór sanitarnych ustaw, rozporządzeń. Za uchybienia przy pracy odpowiada zatrudniony przy produkcji pracownik, winny (art. 34):

a) niezachowania należytej czystości przy wyrobie, sprzedaży, wprowadzeniu w obieg lub przechowywaniu w tym celu artykułów żywności i środków kosmetycznych przeznaczonych do obrotu;

b) dopuszczenia do czynności wymienionych w ustępie a), osoby dotkniętej chorobą zaraźliwą lub wzbudzającą

wstręt — będzie karany pozbawieniem wolności do trzech miesięcy i grzywną pięciuset złotych lub jedną z tych kar.

Jeszcze surowsze kary przewiduje wymienione prawo dla wytwórców.

Art. 27. Winny wyrobu przeznaczonych do obrotu:

a) artykułów żywności szkodliwych dla zdrowia ludzkiego,

b) przedmiotów użytku z takiego materiału lub w taki sposób, że przy użyciu, zgodnym z ich przeznaczeniem lub przewidzianym dla nich, mogą szkodliwie oddziaływać na zdrowie ludzkie — będzie karany pozbawieniem wolności do trzech lat, z którym może być połączona grzywna do trzech tysięcy złotych.

UWAGA! MATKI!

Posłuchajcie, co mówi na temat lodów dr Wacław Gąsecki, dyrektor szpitala dziecięcego w Warszawie. Jego zdaniem:

— Dzieci do lat 5-6 raczej nie powinny dostawać lodów. Zaleca się również, aby dzieci powyżej tego wieku jadły lody nie jak się to praktykuje — z wafli, często brudnymi rękami, lecz łyżeczką. Dzieci, które mają skłonności do przeziębień, katarów dróg oddechowych, anginy, zapalenia zatok lub cierpią na choroby reumatyczne, w ogóle nie powinny spożywać lodów, gdyż może to wywołać szok dla organizmu i dać w rezultacie nowy rzut choroby.

— Jaki zatem atrakcyjny przysmak dawać dziecku, pozbawionemu lodów?

— Lody... na ciepło. Przygotować napój z tych samych składników, a więc z mleka, jajek, cukru.

I. SCHULTZ

Już za dwa tygodnie

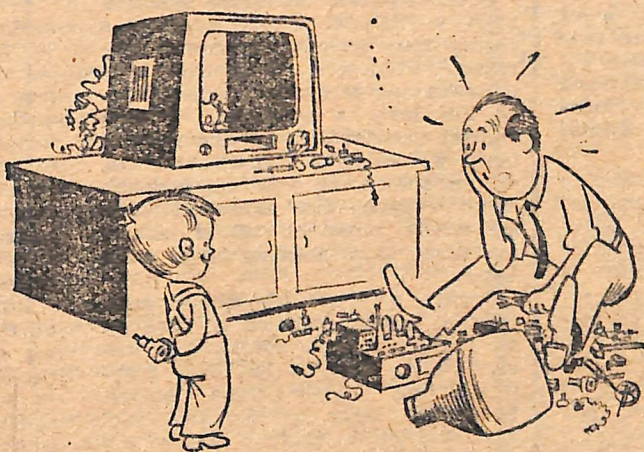
(Dokończenie ze str. 3)

Nie pozostają w tyle mieszkańcy wsi. Na przykład specjaliści z PGR w powiecie Niemodlin postanowili bezinteresownie udzielać fachowej pomocy rolnikom indywidualnym, którzy będą też mogli korzystać z warsztatów gospodarstw państwowych. Związek Młodzieży Wiejskiej w Opolu postanowił rozteńczyć opiekę nad młodymi rolnikami, od niedawna gospodarującymi samodzielnie lub przejmującymi ojcowską gospodarkę. Na posiedzeniu Zarządu Wojewódzkiego ZMW podjęto decyzję o organizowaniu przy agronomówkach klubów młodych rolników.

Ożywienie polityczne i społeczne, jakie przed IV Zjazdem ogarnęło cały kraj, znajduje swoje odbicie również w zwiększonym napływie kandydatów w szeregi Partii. Na przykład organizacje partyjne kielecczyzny tylko w marcu i kwietniu bieżącego roku przyjęły ponad 2 tysiące nowych kandydatów.

*

IV Zjazd PZPR już za dwa tygodnie. Trwa kampania przedzjazdowa — ogólnonarodowa dyskusja nad tezami Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.



— Tatusiu, a sprawdzałeś korki czy przypadkiem nie przepalone?

rys. J. Królikowski

Gdy byłam mała

Nasz konkurs „20 lat” nie był rzecz jasna, przeznaczony dla dzieci. Ponieważ jednak nie zakreślaliśmy granicy wieku — dzieci zrobiły nam niespodziankę. Wśród autorów prac konkursowych znaleźli się nieoczekiwane synowie i córki naszych Czytelników i Czytelniczek, dając świadectwo tej prawdzie, że nigdy nie jest się za młodym na wspomnienia.

14-letni Władek Koziołek ma już na swym życiowym koncie wydarzenie przełomowe i niepowtarzalne:

„Opiszę, jak to było. W niedzielę 27.X.1963 r. przyjechała do nas, to jest do Bielska-Białej, na zaproszenie Ligi Kobiet, do zakładów „Lenko” bohaterka Kosmosu Walentyna Tierszkowa. Ja, ubrany w ładny strój krakowski z dużym pawim piórem za czapką, z dużą wiązanką róż herbacianych, w towarzystwie dwóch dziewczynek też ubranych w strój krakowski, w języku rosyjskim składałem jej życzenia i gratulacje. Ja, taki mało znaczący uczeń VII klasy szkoły podstawowej w Bielsku-Białej, a Ona, taka bohaterka Kosmosu, mistrz czterech rekordów świata w dniach 16—19 czerwca 1963 r. dla kobiet, w klasie lotów orbitowych: czas lotu 71 godzin; wysokość ponad 231 kilometrów, a długość trasy około 1.971.000 km i ciężar statku wprowadzonego na orbitę wokół Ziemi 4.713 kg. Tak mnie wycisnęła i ucłowała, że aż strach, jak moja mamusia potrafi. Droga „Przyjaciółko”! Musiałem się uszczepić, czy to prawda, rzeczywistość czy sen. Coś się we mnie zalało, postanowiłem, że będę się uczył na piątki, by zostać dobrym, mądrym inżynierem, bym budował statki kosmiczne, a moje najskrytsze marzenie polecać jak Ona w Kosmos, w przestworza”.

Bardzo wiele dzieci za największe swoje osiągnięcie uważa dobre wyniki w nauce, zwłaszcza, gdy nie przyszły im one łatwo. Bogusł Stępień z Drochłina, woj. kieleckie, tak o tym pisze:

„Gdy miałem 7 lat, zachorowałem na błonicę (difteryt). Przechodziłem chorobę bardzo ciężko, ponieważ dopłatało się porażenie. Przeleżałem w szpitalu w Częstochowie 4 miesiące. Było to moim największym przeżyciem, bo bałem się, czy wrócę do domu i czy będę się mógł uczyć. Kiedy wróciłem do domu i zacząłem uczyć, zacząłem do szkoły, moim największym pragnieniem było uczyć się i jeszcze raz uczyć. A teraz uczę się bardzo dobrze, bo z piątej do szóstej klasy zdałem sam jeden z nagrodą. Moim największym marzeniem jest ukończyć liceum ogólnokształcące i żeby mnie przyjęli do szkoły rybołówstwa morskiego i żebym został oficerem-marynarzem”.

Chłopcy chętnie piszą o swych czynach bohaterskich. Begdan Kwiatkowski z powiatu Pasiek wspomina:

„Lato było bardzo upalne. Młodzi moi koledzy zaopatrzyli się w papierosy i zapalki i poszli palić papierosy na torfowisko. Ja ze swoim najlepszym kolegą zauważyliśmy tych

palaczy podpalających torf. Odebraliśmy im zapalki i papierosy, przyprowadziliśmy ich do kierownictwa przeciwpożarowego. Ja to bym chciał, żeby ludzi, którzy broją, mocno karać, żeby wychować naród solidny, sprawiedliwy i pracowity. Ja to już rozumiałem, bo ojciec mi ciągle tłumaczył, że człowiek solidny, sprawiedliwy i pracowity zawsze będzie poważany...”

Najwyższy czas oddać głos „kobietom”. 14-letnia Basia Grabda z Radostowa tak opisuje swoją wieś:

„Gdy byłam mniejsza, to w naszej okolicy rzadko przejechał samochód czy motor, albo młóciłi jeszcze zboże cepami, a do najbliższej stacji PKS było 9 kilometrów. A dziś to nie ma dnia, żeby nie przejechało kilka samochodów czy traktorów co dzień przez naszą wieś, a motorów to już jest kilkanaście w naszej wiosce. Młócić to już wszyscy młóć maszynami, nie mówiąc o innych maszynach rolniczych. A do stacji PKS mamy tylko 3 kilometry”.

Agnieszka Jagiello (kl. VIa) z Młynka, pow. Starachowice, pisze:

„Pewnego razu w naszej szkole został ogłoszony konkurs pod tytułem „Co będę robiła, aby w naszej wiosce nie było pożarów”. Napisałam wypracowanie na ten temat i razem z innymi wypracowaniami zostało wysłane. Po pewnym czasie, przyjechał delegat ze straży pożarnej i przywiózł dwie nagrody: pióro wieczne i samochodzik na baterie. Koleżanka dostała pióro, a ja samochodzik. Jest to moje największe osiągnięcie w dotychczasowym życiu”.

Wiele miejsca w listach dzieci zajmują wspomnienia o najbliższych, którzy odeszli od nich na zawsze. Wzruszające słowa napisała Grażyna Szadkowska z powiatu starogardzkiego:

„Famiętam, że był wtedy pochmurny dzień wrześniowy. Tak zwana złota polska jesień. Drzewa stały w swej oświeczonej szacie, widać było, że są podobne do kobiet. Im są starsze i bliższe śmierci, tym chciałyby być młodsze i dlatego ubierają się pięknie i barwnie, aby być jeszcze na ostatnim balu w salonach Jesieni. W taki właśnie dzień, gdy liście umierały na ostatnim swoim balu, zmarła bliska mi osoba. Osoba, która kochała mnie najbardziej. Tą osobą był mój dziadziuś. Dlaczego właśnie ten moment wybrałam? Chyba dlatego, iż od tej pory, od tego smutnego jesienno-go dnia rozumiałam, jak bardzo potrzebny jest nam bliski człowiek i jak wiele zabiera nam los zabierając osobę tak ważną w naszym życiu”.

Podobnie jak w pracach Czytelników dorosłych, również w listach dzieci smutek sąsiaduje z pogodą i radością. Powodem do radości bywają dobre stopnie lub wycieczka, nowa sukienka lub udany występ na akademii, a także sukcesy sportowe. Pięć o nich wielu młodych uczestników konkursu, między innymi Danusia Kalinowska ze Świnoujścia:

„Gdy nasza szkoła brała udział w zawodach, po zawodach kierownictwo szkoły rozdawało dyplomy dla zasłużonych sportowców. I ja niespodziewanie dostałam dyplom za skok w dal (z wynikiem 4,10). Po tych zawodach nasza szkoła weszła do półfinału powiatowego. Trener SKS w Świnoujściu wybierał do SKS niektórych dziewcząt i kazał mi strzelać w bramkę. Za każdym razem, gdy strzelałam, był gol. Potem postawił mnie na bramkę i także dobrze bronilam, więc wybrał mnie do SKS. Mam lat 13 i chodzę do VII klasy szkoły podstawowej nr 4 w Świnoujściu”.

Osobne miejsce w naszym konkursie zajmują dzieci, które nakłoniły swoje mamy do wzięcia w nim udziału lub wobec niezdeterminowania matki — same pracę wysłały. Wzruszający dowód miłości do swojej mamy złożył Jurek Działowski z Obornik:

„Przewracałem w walizce, gdzie znajdowały się Twoje tygodniki, a wśród nich znalazłem wiele poślizgniętych kartek z mamusi wierszami. Zdziwiłem się, że takie piękne wiersze leżą wśród starych gazet. Wyszukałem wszystkie i przejrzałem. Przyniosłem zeszyt stukartkowy, położyłem na stole pióro i atrament, prosiłem, żeby mamusia przepisywała do tego właśnie zeszytu. Po pewnym czasie, gdy były już przepisywane, prosiłem, aby wzięła udział w konkursie

„20 lat”. Mamusia jednak nie zgodziła się. Tłumaczyła, że nie o to w konkursie chodzi, że to nie są żadne osiągnięcia. Ja jednak nie mogłem oprzeć pokusie, przestać muszę. Wam te wiersze, nie mogą się one rymować, bo przecież mamusia sama powiedziała: „Nie wiem co na tym świecie się stało, że wierszy jest wciąż mało i mało”. To jest moje największe osiągnięcie i największy przełom w moim życiu”.

Nie możemy, niestety, przytoczyć wszystkich listów dzieci, i wszystkich dowodów ich miłości do rodziców. Jednym z nich jest poniższa fotokopia, mówiąca o pewnym „porwaniu”.

*Porwana mamusia napisana
brudno a nigdy by nie przepisała
i odesłata bo stale nie ma czasu
ja po powrocie i odesyłam
jakiś jest pismo dle
względnia.
syn Jurek*

Przepraszam, która

JAK CO ROKU, przechodzimy wiosną z czasu zimowego na letni. Przesuwając wskazówki zegarków o godzinę naprzód, skorzystajmy z okazji i cofnijmy się o kilka tysięcy lat.

Starożytni nie mieli kłopotów ze zmianą czasu, natomiast problemem numer jeden było jego mierzenie. Powszeczenie używanymi zegarami były w tych czasach tzw. gnomony. Były to zegarki niesłychanie proste i nawet przy rodzimej produkcji nie sprawiałyby nigdy zawodu. Gnomon to pionowy słup ustawiany na równym terenie. Godzinę określano długością jego cienia. A więc krótko mówiąc były to zegary słoneczne.

Następnym krokiem naprzód było wynalezienie zegara wodnego. Jak wynika z egipskich papirusów, wynalazku tego dokonał mądry bóg — Tot. Zaobserwował on, że pawiany oddają moc w regularnych odstępach czasu — 12 razy na dzień. Podobno fakt ten stał się przyczyną podzielenia dnia na 12 godzin i twórczą podjętą do budowy aparatu, z którego w określonym czasie wyciekała określona ilość wody.

Obok zegarów wodnych stosowanych w Egipcie, własne oryginalne zegary tzw. ogniowe opracowali starożytni Chiny. Najczęściej były to wykonane ze specjalnej masy świece lub lonty z podziałką. Pewien chiński „zegarmistrz” produkował te lonty z domieszką różnych kadzideł, w ten sposób, że o każdej godzinie zegar wydawał inny zapach. Mówiło się wtedy zapewne: „Bądź łaskaw powąchać która godzina, bo ja mam katar...”

Zegary ogniowe zdmuchnął ostatecznie postęp techniczny. Zaczęła się era czasomierzy poruszanych mechanicznie. Kłopotem ich była przypuszczalnie średniowieczna Europa. Najstarszy zegar mechaniczny, jaki zachował się do naszych czasów, pochodzi z 1348 roku. Było to ogromne urządzenie zainstalowane na szczycie wysokiej wieży, którego napęd stanowiły potężne kilkusetkilogramowe glazy. Kamienie zawieszano na

odwijających się powoli linach, tak długich, aby starczyło ich na 12 godzin.

Warto też wspomnieć o zegarach piaskowych, tzw. „klepsydrach”, które używane są do dziś nieraz w gospodarstwach domowych.

MIAŁY WIEKI. W wieku XVII Christian Huyghens wynalazł wahadło. Od tego czasu zaczęło się przełom w konstruowaniu czasomierzy. Następne wynalazki: balans sprężyna, „włos” i setki innych detali — to kamienie milowe techniki na drodze do dzisiejszej „Omegi”.

Zdaniem specjalistów zegarki można podzielić na 14 kategorii. Pierwsze miejsce zajmują czasomierze produkowane przez szwajcarskiego Polaka — właściciela firmy „Patek”. W dalszych, kolejnych czołowych pozycjach uplasowały się: Jaeger i Coultre, Schaffhausen, Longines Omega, Zenith.

Warto jednak pamiętać, że list sporządzili Szwajcarzy i stąd nie ma na niej zegarków radzieckich, cieszących się znakomitą opinią i zdobywających uznanie na całym świecie.

JESZCZE na zakończenie kilka ciekawostek z cyklu „czego to ludzkie nie wymyśla”.

Pewna francuska firma wypuściła niedawno na rynek... tańczące budziki. Dzwoniąc, budzik skacze po stole, może oblać śpiącego jakimś płynem lub obsypać go proszkiem powodującym kichanie. Jeśli pominiemy wszystko właściciel nadal śpi, wówczas budzik zaczyna „tupać nogami”, co ma imitować odgłosy kroków zbliżających się do sypialni. Istnieje też budzik z reflektorami, który budzi śpiących silnym snopem światła skierowanym prosto w oczy.

Japończycy przystąpili do produkcji zegarków, które chodzą bezszelestnie, wcale nie tykając. Zegarki tak zarówna na rękę jak i kieszonekowskie są w gruncie rzeczy małąk radiostacją, która sama wysyła i odbiera sygnały.

Istnieją zegarki osadzone w pierścieniu i zegarki na rękę z wbudowanym aparatem fotograficznym. Są zegarki dla markutów skonstruowane specjalnie na prawą rękę, zega-



NASZE SPRAWY

...Zobowiązujemy się uszyć dodatkowo 70 par rajstopek dla żłobka przyzakładowego. Zobowiązujemy się zorganizować dwa kursy kroju i szycia, wystawę prac koła bafciarek, które istnieje w naszym zakładzie. Budzą te zobowiązania ciepły uśmiech. Jest ich mnóstwo, wszystkie realne, bo mające na uwadze konkretne potrzeby środowiska. Wiele z nich już wykonano. Kobiety założyły nowe skwery, zieleńce, place zabaw, a na wsi warzywniarnie i hodowle róż. Te zobowiązania są kobiecym darem dla uczczenia 20-lecia, a sdawały z nich sprawę delegatki, które ze wszystkich stron Polski zjechały się do stolicy na majowe plenum Li-gi Kobiet.

Z tematów poruszonych na plenum na pierwsze miejsce wysunęły się troska o szczęście i spokój rodziny oraz sprawy zatrudnienia kobiet.

NASZE ZDROWIE

— Podstawą szczęśliwej rodziny jest zdrowie jej członków — powiedziała dr Pomerska — dyrektor Departamentu Opieki nad Matką i Dzieckiem Min. Zdrowia. — By chronić nasze zdrowie Państwo stworzyło gęstą sieć placówek społecznych, dostępnych wszystkim mieszkańcom. Niestety jeszcze ciągle obserwuje

się, że choć poradnia D lub poradnia K znajduje się w pobliżu, nie wszystkie kobiety z poradni korzystają. Niestety jeszcze ciągle lekceważymy zdrowie i nie przestrzegamy elementarnych zasad higieny. Jeszcze dotąd w wielu mieszkaniach nie uznaje się wietrzenia, sprzątania, dzieci są nieprawidłowo żywione i brudne. Na początku każdego roku szkolnego rejestruje się 40 procent zaszczepionych dzieci. Jeszcze dotąd, mimo szerokiej akcji uświadamiającej — zbyt wiele kobiet zamiast nie dopuszczać do ciąży, przerywa ją ze szkodą dla własnego zdrowia.

NASZA PRACA

Zatrudnienie, kwalifikacje zawodowe — oto zagadnienia, które wiele miejsca zajęły na Plenum. Rozważano sprawę kobiet, którym w przyszłej 5-lacie trzeba będzie przygotować nowe miejsca pracy. Nowe miejsca bez wielkich wydatków pieniężnych. Mówiono na przykład o takich zawodach, jak piekarnictwo czy praca w masarniach, gdzie rzadko spotyka się kobiety; jeszcze rzadziej zobaczyć można kobietę-kuchmistra w placówce żywienia zbiorowego. A przecież te zajęcia w nowoczesnym zmechanizowanym zakładzie nie wymagają wysiłku fizycznego, a zarobkowo są bardzo atrakcyjne.

Poruszone także kłopoty kobiet, wykonujących ciężką, a przy tym niskopłatną pracę w rozmaitych zakładach. Nie mają one żadnej możliwości podniesienia kwalifikacji zawodowych, nie mogą przystąpić do egzaminów czeladniczych ani mistrzowskich. Od tych egzaminów dzieli je bariera, którą jest brak świadectwa ukończenia 7 klas szkoły podstawowej. W dyskusji nad tymi zjazd Partii to minimum niezbędnego wykształcenia wysunęło się jako poważne zagadnienie.

Podkreślono także i to, że dyrektorzy szkół zawodowych o kierunkach uznawanych dawniej jako typowo męskie, mimo zaleceń władz niechętnie przyjmują dziewczęta.

USŁUGI I CHAŁUPNICTWO

Wiele uwagi poświęcono perspektywom rozwoju usług i chałupnictwa. Delegatki ze wsi podkreślały konieczność rozbudowy sieci usług we wsiach i małych miasteczkach. Zwłaszcza usług techniczno-naprawczych, bo dotyczy one z pralką, uszkodzonym radiem, telewizorem czy żelazkiem, nierzadko trzeba jeździć dziesiątki kilometrów do wojewódzkiego miasta. Takie naprawy prace mogłyby wykonywać z powodzeniem przeszkolone w odpowiednich kierunkach, kobiety. „Miasto musi przybliżyć się do wsi” — a przybliżyć się przez stworzenie we wsiach i małych osiedlach fachowych punktów naprawczych.

Chałupnictwo omawiali dyskutantki, jako zagadnienie trudne i skomplikowane. Wprawdzie rozwiązałoby ono sprawę pracy matek, których obecność w domu jest jak najbardziej pożądana. Ale co produkować? Czy uzupełniać braki konfekcyjne, które odczuwa rynek, czy produkować przedmioty luksusowe na rynek zagraniczny?

W uchwale plenum sprawa pracy dla kobiet zajmuje centralne miejsce. W uchwale jest mowa o powiększeniu kadry kobiet w handlu, w gastronomii, piekarnictwie i masarstwie, o zorganizowaniu pracy w chałupnictwie przez przerzucenie z produkcji przemysłu lekkiego i drobnej wytwórczości tych zajęć, które mogą być wykonywane przez chałupniczki w domu. Uchwala postuluje specjalne szkolenie kobiet do prac chałupniczych. W sprawie kształcenia dziewcząt w nowych zawodach wysunięto projekt współpracy przy opracowaniu katalogu zawodów dla dziewcząt, podkreślając także nowe kierunki, jak na przykład elektryka i optyka.

BIĄŁE NOCE

Słowa polskie — OLA OBARSKA

Muzyka — S. PORTNOW



Zakochała się noc
w mieście pięknym jak sen
i dlatego tam są
noce białe jak dzień

Ref.

Jeśli ktoś przeżył noc
w Leningradzie choć raz
ten pokocha to miasto
jak ja.

Fale Newy co noc
są zwierciadłem dla gwiazd
Idąc mostem, co krok
Leningradu lśnią dwa.

Ref.

Jeśli ktoś przeżył noc
tam nad Newą choć raz
ten pokocha tę rzekę
jak ja.

Mandacik proszę!

„Staś i Marysia” — pod spodem dąta i serduszek przeszyte strzałą. Obok na pninach drzew dziesiątki, setki podobnych wizytówek bezmyślności, dziesiątki, setki ran zadanych drzewom.

Poradnik jej pić sok brzozy — poszli więc do lasu, zdarli korę z kilku brzozek, zrobili głębokie nacięcia. Sok nie pomógł. Drzewka zmarniały...

— Cóż tak rozczuliacie się nad kilku drzewami? Chcielibyście młodych pozabawić romantycznej rozrywki i wspomnień? Mało to u nas lasów, mało drzew?

Mało! Bardzo mało. Hitlerowski najeźdźca w ciągu kilku lat wyniszczył ogromne obszary naszych lasów. Po wojnie przypadła nam w udziale muzułna odbudowa tego cennego działu gospodarki narodowej. Nie można więc dopuścić, abyśmy sami ją utrudniali i hamowali.

Niedawno (Monitor Polski Nr 28 z 27 kwietnia br.) ukazało się zarządzenie Ministra Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, stanowiące jedno z wielu ogniw w łańcuchu środków ochronnych naszych lasów. Ustala ono w jakich wypadkach pracownicy służby leśnej — leśnicy, gajowi, strażnicy — mają prawo nakładania mandatów na osoby, które czynią szkody w lasach, które dopuszczają się wykroczeń przeciw zasadom ochrony przeciwpożarowej.

Trudno tu wyliczyć wszystkie wykroczenia zagrożone mandatem — zajmują one pełne dwie strony Monitora. Wymieńmy jednak niektóre, najbardziej typowe:

- nacinanie w lesie drzew lub ich uszkodzanie — mandat 30 zł;
- tyle samo wydobywanie w lesie żywicy lub soku brzozy;
- zdzieranie kory — 25 zł;
- zwożenie do lasu kami, ni, śmieci, nieczystości, padliny albo

zanieczyszczanie lasu w inny sposób — od 25 do 100 zł;

— przechodzenie przez las w miejscu zabronionym — 30 zł;

— przejazd — 50 zł;

— zbieranie w lesie w miejscu niedozwolonym lub bez zezwolenia kory, wiór, darni, trawy, wrzosa, mchu, ściółki, szyszek, grzybów, jagód, owoców lub ziół — 50 zł;

— rzucenie niedopałka papierosa w lesie lub w pobliżu lasu — 50 zł;

— rozniecanie ognisk — 100 zł;

— kupowanie roślin podlegających ochronie — 50 zł;

— wybieranie jaj ptasich — od 30 do 50 zł;

— płoszenie zwierząt — 20 zł;

— zakłócanie ciszy — 20 zł.

Kwoty — jak widać niewysokie. Tak, ale płaci się je niejako za samo tylko doprowadzenie do sytuacji, w której mogła powstać szkoda. Gdy zaś nacięcie drzewa, zerwanie kory, obłamanie gałęzi itp. spowoduje zniszczenie drzewa — gdy rzucenie niedopałka stanie się źródłem pożaru, sprawca odpowiada oczywiście w pełni za wyrządzone szkody. Wtedy — rzecz jasna — mandatem nie można się wykupić.

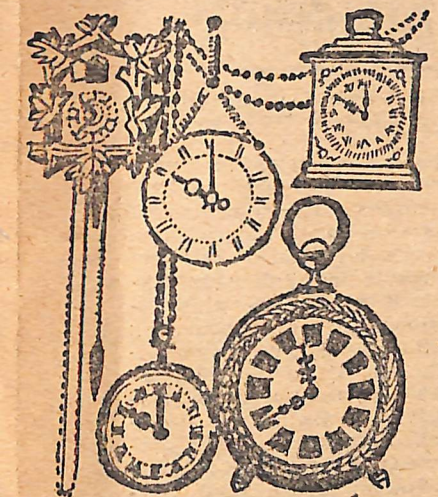
GA - RA

podróżna?

dla niewidomych (z wypukłymi cyframi), zegarki poruszane baterijkami izotopowymi oraz siłą grawitacji ziemskiej.

Wśród producentów istnieje swoista konkurencja, polegająca na zbudowaniu jak najcieńszego zegarka. Rekord pobili Szwajcarzy, którzy skonstruowali już zegarki na rękę o grubości 1,64 i 1,18 milimetra!!!

Nie sposób wymienić wszystkie cuda „tykającego” świata. Kiedy więc w nocy z 30 na 31 maja przedstawiać będziecie zegarki na czas letni, nie przejmujcie się, że nie macie zegarka atomowego, radiowego, akumulatorowego, czy innego oryginału sztuki zegarmistrzowskiej, działającego bez wskazówek lub bez nakręcania. Byleby wskazywał dokładny czas. Bo czas to pieniądz. Na wprowadzenie



niu czasu letniego, na przesunięciu zegarków o godzinę naprzód państwo zyskuje spore oszczędności. Przede wszystkim unikamy nadmiernego zużycia prądu w godzinach szczytu energetycznego. Oszczędzamy tyle energii, ile dostarczają dwie duże warszawskie elektrownie. Zmiana czasu daje również „oddech” energetykom, ułatwia przeprowadzenie okresowych remontów i pozwala sprawniej manipulować rozdzielaniem energii.

Z. KAZIMIERCZUK



Na szerokim świecie

OGIEŃ W LAOSIE

Niewielkie, niespełna 2 miliony mieszkańców liczące, państwo na Półwyspie Indochińskim — Laos. Od dziesięciu lat, na mocy uchwały Konferencji Genewskiej, Laos miał być pokojowym, neutralnym krajem z rządem koalicyjnym, złożonym z przedstawicieli lewicy z partii Patet-Lao, ugrupowania prawicowego oraz neutralistów, do których należy premier Souvanna Phouma.

Mimo uchwał genewskich Laos przez cały czas był jednym z najbardziej zapalnych punktów na Dalekim Wschodzie. Toteż w roku 1962 utworzono Międzynarodową Komisję Nadzoru i Kontroli nad Laossem, w skład której wchodzi przedstawiciele Indii, Kanady i Polski.

Ale w Laosie nadal trwały wewnętrzne rozgrywki. I oto 19 kwietnia grupa tamtejszych generałów podjęła próbę dokonania przewrotu wojskowego w celu obalenia rządu koalicyjnego i stordowania porozumień genewskich. Laos stał się terenem zbrojnych starć.

W związku z ostatnimi wydarzeniami, minister spraw zagranicznych ZSRR, A. Gromyko, współprzewodniczący Konferencji Genewskiej w

sprawie Laosu, w piśmie do premiera Souvanna Phoumy potępił zdecydowanie próbę wojskowego zamachu stanu i stwierdził, że Związek Radziecki nadal będzie popierał działalność legalnego rządu koalicyjnego.

Rząd Francji wypowiada się za zwołaniem konferencji z udziałem sygnatariuszy układu genewskiego, uważając, że zasadniczym problemem jest uszanowanie neutralności Laosu.

Propozycja Francji została bardzo niechętnie przyjęta przez Londyn, ponieważ takiego rozwiązania nie życzą sobie Stany Zjednoczone, zaś Anglia obawia się, że konferencja taka mogłaby przypieczętować klęskę laotańskiej prawicy.

Stany Zjednoczone idą jeszcze dalej. Rzecznik Departamentu Stanu oświadczył ostatnio, iż USA nie wy-

kluczają posunąć nawet natury wojskowej, gdyby takie były potrzebne.

A tymczasem w Laosie reakcyjna junta wojskowa dopuszcza się coraz to nowych akcji prowokacyjnych. Jedną z nich dotknęła polską delegację do Międzynarodowej Komisji. Siedziba misji PRL była „obleżona” przez kilkanaście godzin. Odcięto dopływ elektryczności, wody, zerwano łączność telefoniczną, próbowano wdrzeć się siłą na teren chroniony międzynarodowymi przepisami dyplomatycznymi.

Sytuacja w Laosie jest bardzo skomplikowana i zmienia się niemal z dnia na dzień. Na pewno nieraz jeszcze przyjdzie nam wracać do tych spraw.

W DWÓCH ZDANIACH

Kontrrewolucjoniści kubańscy, którzy znaleźli schronienie w Stanach Zjednoczonych i niektórych krajach Ameryki Środkowej, nie zaprzestają

swej działalności. Bez ogródek oświadczają, że nadal będą wysyłać na Kubę oddziały dywersyjne. Rząd kubański zwrócił się do Sekretarza Generalnego ONZ, U Thanta, zwracając uwagę na prowokacyjną politykę USA wobec Kuby.

Minister Spraw Zagranicznych Izraela, pani Golda Meir, przemawiając w parlamencie, opowiedziała się zdecydowanie przeciw zachodniomociekowskiemu projektowi zaprzestania ścigania zbrodni hitlerowskich z dniem 8 maja 1965 r.

XVIII Sesja Rady Interwizji na obradach w Bukareszcie ma ustalić sposoby transmisji igrzysk olimpijskich z Tokio. Przewiduje się, że Interwizja transmitować będzie łącznie 25 godzin programu poświadczonego igrzyskom. Do przekazywania transmisji w minimalnym stopniu wykorzystane będą satelity telekomunikacyjne, natomiast główną rolę odegra technika filmowa i lotnicza.

Koszalek-Opalek

Nie wiedzą, że nie wiedzą

Szukajmy prawdy
jasnego promienia...
(Asnyk)

Pewnego razu pewien wielki, sławny filozof, po wielu latach pracownictwa przemysłowego ogłosił światu w czterech słowach rezultat swoich długoletnich dociekań. Powiedział tak: „Wiem, że nie wiem”. I od razu głupcy zaczęli się z niego śmiać, że wie tak śmiesznie mało. Mądrzy zaś skłonili się nisko przed wielkością człowieka, który wiedział, że nie wie, a więc wiedział aż tak wiele!

Ten fakt historyczny o filozofie, którym był Sokrates, i o jego współczesnych, wśród których znaleźli się mądrzy i głupi, przypomina się przy czytaniu niektórych odpowiedzi instytucji na nasze interwencje. Nie zawsze — przecież odpowiadają nam Sokratesowie. Zdarza się, że odpowiadają właśnie ci, którzy nie rozumieją jego mądrości.

I tak, pewnego razu mieliśmy przed sobą list, którego autorka powiadomiła nas o tragicznym losie dzieci żyjących w rodzinie — nazwijmy ją rodziną „X” — i o równie wstrząsających warunkach życia dzieci z innej rodziny — nazwijmy ją „Y”. Ponieważ obie te rodziny mieszkają w Opatowie, więc interweniowaliśmy w Prezydium PRN w Opatowie, w Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej, podając fakty znane nam z listu i prosząc o zbadanie sprawy

w drodze wywiadu społecznego. A także o przyjęcie dzieciom z pomocą w razie potwierdzenia faktów, no i o powiadomienie nas o dalszych losach tych spraw.

Rzeczywiście. Po jakimś czasie otrzymujemy odpowiedź z Wydziału Zdrowia, że sprawę dzieci z rodziny X i dzieci z rodziny Y przekazano do Wydziału Oświaty i Kultury — też



rys. J. Królikowski

radę narodowej. Ze Wydziału Oświaty skierował sprawę dzieci z rodziny X do sądu dla nieletnich. I że zgodnie z postanowieniem sądu, dzieci małżeństwa X zostały zabrane rodzicom

— jedno do domu dziecka, drugie do szpitala powiatowego na leczenie. Jeśli zaś chodzi o dzieci małżeństwa Y, to Wydział Oświaty i Kultury czyni starania w celu umieszczenia dwojga najmłodszych w Domu Małego Dziecka w Kielcach. Tyle w piśmie Wydziału Zdrowia.

Piszemy więc do Wydziału Oświaty, pytając o dalsze losy dzieci. I tu dowiadujemy się prawdziwych rewelacji. Ze, zgodnie z postanowieniem sądu, dzieci X umieszczone są w... Państwowym Pogotowiu Opiekunów w Padomiu. (A więc nie w domu dziecka i nie w szpitalu?).

Natomiast, jeśli chodzi o dzieci rodziny Y, o której Wydział Zdrowia pisał, że „dwoje najmłodszych znajduje się pod opieką Wydziału Oświaty, który czyni starania umieszczenia ich w Domu Małego Dziecka w Kielcach” — Wydział Oświaty donosi, że „Rodzina Y jest tutejszemu wydziałowi nieznana. Na terenie miasta Opatowa nie zamieszkuje”.

Jaka jest więc prawda o losach dzieci X i Y? Sa w szpitalu? W domu dziecka? W Pogotowiu Opiekunów? Czy nie starania, by umieścić je w Domu Małego Dziecka? Czy też w ogóle tych dzieci nie ma?

Naprawdę, powiadam Wam, z dwóch zdań sprzecznych co najmniej jedno jest fałszywe. Ale które? — oto jest pytanie.

Nie trzeba być Sokratesem, aby odpowiedzieć na nie jego bezbłędna formuła: Wiem, że nie wiem. A bardzo chciałbym wiedzieć.

Wan Kosiński

Na płytach

Mile, wpadające w ucho melodie, muzykalne, bezpretensjonalne wykonanie — te walory sprawiły, że zespół siedmiu dziewcząt ze Szczecina zdobył sobie ogólną sympatię w całym kraju. Popularne „FILIPINKI” nagrały ostatnio dwie płyty (Muza — 298 i 299 — cena każdej 40 zł).

„Filipinki” wykonują szeroko znane z ich występów i audycji radiowych: „FILIPINKI — TO MY”, „BAL ARLEKINA”, „WALA-TWIST”, „BATUM”, „PRACZKI Z PORTUGALII” i inne równie przyjemne piosenki.

Pełno nastroju i wyrazu są piosenki w wykonaniu Ewy DEMARCYK (Muza 294, cena 30 zł). Na płycie tej Demarczyk przy akompaniamencie zespołu Z. Koniecznego wykonuje najciekawsze bodaj pozycje swego repertuaru — „KARUZELA Z MADONAMI”, „CZARNE ANIOŁY” i „TAKI PEJZAZ”.

Z nowości warto zanotować jedną z pozycji repertuaru tzw. poważnego, choć dostępnego dla każdego miłośnika muzyki. Koncert skrzypcowy MIECZYSLAWA KARŁOWICZA dzięki swej melodyjności chwytła za serce każdego. Daje on jednocześnie olbrzymie pole do popisu dla wirtuozów i w całości stanowi jedną z pięknych kart polskiej muzyki.

Świetne wykonanie naszej najwybitniejszej skrzypkarki — WANDY WILKOMIRSKIEJ w pełni uwydatnia walory tej kompozycji, nagrałej z akompaniamentem orkiestry Filharmonii Narodowej pod dyktando WITOLDA ROWICKIEGO (Muza X — 179, cena 80 zł).

Pięknym uzupełnieniem płyty jest Poemat symfoniczny Karłowicza „SMUTNA OPOWIEŚĆ” (dyrygent — St. Wistocki).

Ludzie i zdarzenia

Pamiętnik rewolucjonisty

„Urodziłem się 30 maja 1864 roku... Wielu z naszych znajomych i krewnych brało udział w powstaniu; niektórzy zginęli...”

Tak rozpoczyna Feliks Kon swoje wspomnienia. A dalej pisze:

„Przez długi czas rewolucjoniści polscy walczyli tylko o wyzwolenie swej ojczyzny. Nikt nie myślał o tym, że istnieje jeszcze bardziej nieszczęśliwy naród — naród proletariatu...”

W tym duchu patriotycznym wychowała się cała ówczesna młodzież polska. Potem jednak wśród najbardziej postępowych kół zaczęła zwyciężać idea walki nie tylko o niepodległość własnego narodu, ale o wyzwolenie społeczne mas pracujących całego świata.

Ta pierwsza grupa polskich socjalistów szybko jednak została aresztowana przez carską żandarmerię. Większość zesłano na Sybir. Wśród nich znajdowała się starsza siostra Feliksa Kona, Helena. Feliks miał wówczas zaledwie 14 lat, ale aresztowanie siostry wywarło na nim silne wrażenie. „I od tej chwili został zdecydowany mój los i całe moje dalsze życie...”

Wstąpił do szkolnego koła socjalistycznego. Na tajnych zebraniach zetknął się z działaczami robotniczymi.

W 1882 r. z oddzielnymi, nie związanymi ze sobą kółkami powstała pierwsza w Polsce rewolucyjna partia robotnicza „Proletariat”. Feliks Kon znalazł się w jej szeregach już po aresztowaniu Ludwika Waryńskiego. Choć jeszcze

bardzo młody i niedoświadczony, szybko pod kierunkiem Stanisława Kunickiego wciągnięto go do roboty. Pracował w tajnej drukarni, przewoził przez granicę książki i broszury polityczne, organizował zebrania z robotnikami w Warszawie, w Łodzi i Białymstoku.

„Ciągłe się uczyłem i uczyłem innych. Uczyłem się nie tylko z książek. Robotnicy zadawali pytania dotyczące wysuwanych przez życie spraw... Odsłaniało się przede mną życie klasy robotniczej...”

W 1884 r. został aresztowany. Przeszedł rok spędził w warszawskiej cytadeli, w X Pawilonie. Za którąś tam ścianą w samotnej celi czekał na wyrok Waryński. Wkrótce przywieziono także Kunickiego wraz z grupą najbliższych współpracowników pracy Feliksa Kona. Czterech z nich: Kunicki, Bardowski, Pietrusiński i Ossowski powieszono; zostali natomiast pod oknami jego celi. On sam, skazany przez sąd

wojenny na katorgę — powędrował w głąb Syberii. Wiele lat spędził w Karze, jednym z najcięższych więzień dla przestępców politycznych. Później już na tzw. „wolnym osiedleniu” tułał się po syberyjskich krainach. Pomału płynęły lata, „a ciągnęło do wolności, ciągnęło do rewolucyjnej pracy...”

I dopiero w 1904 r., w dwadzieścia lat od chwili aresztowania pozwolono mu wrócić do kraju. W Warszawie czuło się już nadchodzącą rewolucję. Feliks Kon nie wierzył oczom. W dniach swojej młodości rozpoczynał robotę partyjną wśród nielicznej grupy towarzyszy. Teraz tysiące robotników brało udział w walce. Odbijały się demonstracje i wiece. Na ulicach śpiewano pieśni rewolucyjne, pojawiały się czerwone sztandary. Rok 1905 zastał Feliksa Kona znowu w akcji, już jako członka PPS. Ale po stłumieniu rewolucji, nie mógł dłużej pozostać pod zaborem rosyjskim. Wyjechał za grani-

cę i pracował w emigracyjnych sekcjach PPS-Lewicy.

Na wieść o wybuchu rewolucji lutowej pojechał w 1917 r. do Rosji i przyjęty został w szeregi partii bolszewickiej. W 1920 r. wraz z Feliksem Dzierżyńskim i Julianem Marchlewskim organizował Tymczasowy Komitet Rewolucyjny w Białymstoku, co uniemożliwiło mu już powrót do Warszawy. Pozostał więc do końca życia w Związku Radzieckim. Pracował w Ministerstwie Oświaty i w Komitecie Radiowym ZSRR, pisał artykuły i redagował czasopisma. Swe długie, bogate życie działacza partyjnego opisał w czterotomowych pamiętnikach oraz w książce dla młodzieży „Pod sztandarem rewolucji”.

Umarł w 1941 r. wkrótce po najeździe hitlerowców na Związek Radziecki. W bieżącym roku mija 100 lat od urodzin Feliksa Kona, niesłusznego rewolucjonisty, który całe swoje życie oddał sprawie proletariatu. (St.)

Gdy dzieci się nudzą

W okresie wiosny i lata wskazane jest, aby dziecko dużo czasu spędzało na świeżym powietrzu, aby uprawiało zabawy ruchowe. Podajemy kilka zabaw, które łatwo zorganizować bardzo prostymi środkami.

Ulubioną zabawą wszystkich dzieci jest piłka. Oto kilka zabaw z piłką dla maluchów.

Ustawić na podwórzu, w ogródku a nawet w polu małą bramkę, do której dziecko będzie celować piłką. Bramka może być zbudowana z trzech palików lub deseczek. Szerokość należy dostosować do rozmiaru piłki. Końce dolne palików powinny być ostro zakończone, aby można je wbić w ziemię, albo też zakończone podstawkami (jak na rysunku), aby można bramkę ustawić.



Ktoś z dorosłych musi dziecku poglądowo wytłumaczyć, na czym zabawa polega. Aby nie zrazić małego obywatela — zaczynamy od odległości nie większej niż 1-1½ metra, potem odległość tę coraz bardziej zwiększamy.

Dla dzieci w wieku 5-7 lat doskonała jest zabawa kółkami wiklinowymi. Koło takie można zrobić samemu z wiotkiego pręta lub kupić gotowe (serso). W ziemię wbijamy palik i z odległości 2-3 metrów dziecko stara się „nadsiać” kółko na ten palik. Odległość należy ciągle zwiększać, aby spotęgować emocję. Wygrywa ten, kto ma najmniej chybiionych rzutów.

Tymi samymi kółkami można też zabawić się inaczej. Dzieci rzucają do siebie nawzajem z pewnej odległości kółkami i łapią je na cienki lekki kijek. Wygrywa ten, komu uda się złapać jak najwięcej kółek.



Znane są wyścigi w workach. Zamiast worka związany obydwie nogi w kostkach miękkim wiązadłem, aby nie wpijało się w nogę. Kto prędzej „przeskoczy” skrepowanymi nogami odległość 25 m bez upadku?

Dużą miednicę, wanienkę lub balijkę ustawia się na podwórku lub w ogrodzie i napełnia wodą. Przedtem należy przygotować kilka rybek, wystruganych z kory lub z miękkiego drewna. Do każdej rybki przytwierdza się „pętelkę” z cienkiego drutu. Do wiotkiego pręta długości 35-40 cm przytwierdza się mocną

Torcik kajmakowy

Kupić paczkę kwadratowych andrutów. 1 l mleka wstawić na ogień, dodając 80 dkg cukru, 2 czubate łyżki margaryny mlecznej, 2 paczki cukru waniliowego i kakao. Ale czubatą łyżkę kakao trzeba najpierw rozbić w paru łyżkach zimnego mleka i dopiero wtedy dodawać do gotującej się masy. Gotować na małym ogniu i mieszać, dopóki masa nie zacznie gęstnieć. Wtedy kroplę masy wylać na zimny talerzyk; jeśli szybko zastyga, zdjąć masę z ognia; jeśli powoli, gotować dalej.

Gdy masa jest już gotowa, zdjąć ją z ognia i ucierać drewnianą pałką. Masa będzie szybko gęstnieć. Ostudzoną, ale jeszcze dobrą do smarowania pokrywamy andruty, układając je jeden na drugim. Ostatniego nie smarujemy. Owijamy torcik w czysty papier, np. śniadaniowy, obciążamy deseczką i ciężkimi książkami. Gdy zastygnie, kraje się tort w trójkąty, kwadraty, „paluszki” itp. — według fantazji.

Taki torcik byłby pyszny z lodami. Gdyby ich jednak nie było, można przyrządzić deser, który podaje się tak jak lody.

nitkę długości 35-30 cm, a na jej końcu przymocowuje haczyk zrobiony ze zgiętej szpilki. Zabawa polega na tym, że dzieci kolejno zapuszczają wędkę, np. każde



dziecko po 10 razy. Wygrywa ten, kto wyłowi najwięcej rybek.

A oto zabawa, która nie wymaga prawie żadnych przyrządów ani przygotowań — wyścigi na jednej nodze. Oznaczamy miejsce startu i metę w odległości około 25 metrów. Kto prędzej przeskoczy tę odległość na jednej nodze — bez odpoczynku — ten wygrywa wyścig.

Ten sam wyścig można urozmaicić „przeszkodami” w postaci kilku kamieni ułożonych na trasie. Każdą przeszkodę należy jak najwyżej przeskoczyć.

Popularny jest również wyścig z surowym jajkiem na łyżeczce. Zamiast jajka po-



Przyrządki to SAMA

...ale pod czujnym okiem mamy! Właściwie prawie całe przyjęcie na Dzień Dziecka mogą przygotować sama: deser, napoje... Mam już przecież 8 lat.

„KOLOROWY DESER”

Utrzeć kogel-mogel, biorąc na każde żółtko po 2 łyżki cukru. Ucierać co najmniej 10 minut. Po utarciu, do połowy kogla-mogla dodać trochę cukru waniliowego, a do drugiej połowy łyżeczkę kakao.

Ubić bardzo sztywną pianę z białek, dosypać do niej cukier-puder, biorąc po 2 łyżki pudru na każde białko. Ale teraz już nie ubijać piany, ale ucierać ją drewnianą pałką w misce, aż będzie gęsta i sztywna. Wtedy dodać dla koloru trochę konfitury, np. z wiśni, malin lub tp. Można też dodać garść świeżych owoców, jeśli już są (truskawek, poziomek, czarnych jagód itp.).

A teraz „układamy” deser. A więc na dno pucharka (szklanej kompotierki lub tp.) damy łyżkę żółtego kogla-mogla, na to trochę utartej różowej pianki, na to kakao-wy kogel-mogel i znowu dużo różowej pianki. Na sam wierzch położyć albo świeży

łożmy na łyżce 3 małe ziemniaki. Dziecko trzyma łyżkę za trzonek, rękę wyciąga przed siebie i tak musi jak najprędzej przebyć odległość od wyznaczonego miejsca startu do mety. Wygrywa ten, kto pierwszy dotarł do mety z trzema ziemniakami na łyżce.

Jeszcze trudniejszy jest wyścig z kartką papieru na dłoni. Uwaga! Nie wolno przytrzymywać papieru kciukiem! Gra musi być uczciwa, bo jakież smak będzie miało zwycięstwo nieuczciwe?

I jeszcze jedna zabawa: skakanek lub linkę związać tak, aby tworzyła zamknięty krąg.



Czworo dzieci chwyta ją tak, żeby tworzyła kwadrat. Na 4 rogach kwadratu rysujemy cztery koła, w których stają dzieci... Gra polega na tym, że każdy uczestnik ciągnie linkę w swoją stronę, aby nie dać się wyciągnąć z koła, w którym stoi. Przegrywa ten, kto zmuszony został do opuszczenia koła.

Dobrej zabawy!

owoc, albo trochę dżemu czy konfitury.

NAPÓJ OWOCOWO-MLECZNY

„Coś do picia” trzeba podać koniecznie. Może to być np. nektar truskawkowy, ubity (trzepaczką) z mlekiem lub śmietanką. Pyszny jest z dodatkiem mleka skondensowanego z puszki. Można też dodać do szklaneczek po kostce

lodu, a po wierzchu dla smaku i dekoracji poproszyć utartą na tarce czekoladą.

NAPÓJ ZWANY „FIZZ”

W jego skład wchodzi woda sodowa. Może to być np. syrop z róży z wodą, albo sok wiśniowy czy inny z wodą (zawsze sodową!), albo nawet rozcieńczona konfitura, czy syrop z kompotu, z dodatkiem wody sodowej. Pije się go przez słomkę i podaje z kostką lodu (kto ma lodówkę; jeśli nie, to trzeba napój oziębic).

Niedobre przyjęcie? Żeby tylko chłopcy byli grzeczni!

Małe przyjęcie DLA DZIECI

Drogie Mamusie! Pamiętajmy, że dzieci są bardzo wrażliwe. Nie jest im obojętne, jak nakrywacie stół i jak ustawiacie na nim potrawy. A zwłaszcza — w Dniu Dziecka!

Jak nakryć stół? Ostatnio „moda” nakazuje, by każdemu z gości dać osobną serwetkę (dla dzieci mogą to być serwetki plecione ze słomki, albo plastikowe). Jeśli jednak mama bardzo boi się o całość i połysk stołu, niech położy na nim biały obrus i przykryje go ładnym obrusem z plastiku. Wtedy i dzieci będą się czuły pewniej, wiedząc, że nawet jak im się coś wyleje — to nieszczęścia nie będzie.

Na każdego uczestnika dziecięcej zabawy trzeba przeznaczyć około 60 cm długości stołu. Im większa ciasnota, tym większe niebezpieczeństwo „nieszczęśliwych wypadków”.

Nakrycie zależne jest od tego co będzie podane, ale w zasadzie powinno tak wyglądać: talerzyk deserowy większy, nad nim łyżeczka, a z prawej i lewej strony sztucze, kolejno, zależnie od potraw. Przed talerzem szklanka lub pucharek, bo pewnie podamy koktail mleczny czy owocowy. Jeśli np. kakao lub inne gorące picie, to w filiżankach, ustawionych po prawej stronie talerzyka.

Po lewej stronie złożona w trójkąt lub w prostokąt serwetka bibułkowa. (Nie dawać ich wszystkich razem, bo dzieci sięgając po nie na pewno coś przewrócą, a serwetki będą porozrzucane).

Kwiaty na stole są piękną ozdobą. Były niskie, były nie zasłaniały. Np. w niziutkim szkle bratki, stokrotki, niezapominajki lub szafirki.

Co podać? — Jakies dania atrakcyjne, zabawne; inne niż zazwyczaj, niespodzianki! Np. jeśli to będzie babka, niech będzie marmurkowa czyli w dwóch kolorach (ciasto jasne z dodatkiem kakao). Jeśli to będą lody, warto je udekorować

wać świeżymi owocami lub konfiturą. Jeśli to będą ciasteczka, zadajmy sobie trochę trudu, by je wyciąć w śmieszne figurki (kurek, słoni, serc itp.) lub zabawnie udekorować, np. jako buzie, pyszczki kotków, zegary itp.

Dziecięce przyjęcia wypadają zwykle w czasie podwieczorku, więc urządza się je „na słodko”.

Jeśli zabawa trwa dłużej, kilka godzin — można podać również kanapki — z serem, jajkiem, rzodkiewką, ogórkiem itd. Nieduże, ładnie udekorowane.

„Picie” — jest konieczne, ale picie orzeźwiające, kwaskowate. Do nowoczesnych „koktaili” podaje się słomki i kostki lodu z lodówki.

Obsługa — powinna należeć do dzieci starszych, spokojniejszych, naturalnie pod baczny okiem osoby dorosłej. Tackę z ciastkami, z lodami, czy z napojami podaje się z lewej strony. Brudne naczynia zbiera się z prawej strony.

A może inaczej? — Dzieciom nie urządza się „zimnego bufetu”, ale bywa, że podaje się wszystko razem każdemu dziecku na osobnej tacce. Bardzo modna i wygodna metoda. Ale wtedy trzeba mieć tyle taczek, ile jest dzieci.

Nastroj przy stole jest najważniejszy! Nie „sztywny”, ale i nie rozbrykany, za to grzeczny, miły, pogodny. Sprzyja temu muzyka z płyt, a także... nie przesadna troskliwość mamy.

I.G.



Czas pomyśleć o silosach

W żywieniu bydła występuje u nas powszechnie poważny niedobór pasz, zwłaszcza w zimie i na przednówku. Ta nierównomierność w żywieniu jest właśnie jedną z zasadniczych przyczyn niskiej obsady i niskiej wydajności bydła w wielu rejonach kraju. Za jedyne rozwiązanie tej trudnej sytuacji nasi specjaliści rolnicy i ekonomiści uważają zwiększenie produkcji kiszzonek, a tym samym i budowy silosów.

Kiszonki są w naszych warunkach niezmiernie ważną rezerwą pasz i to nie tylko na okres zimy, lecz i na inne pory roku, w których występuje w gospodarstwie niedobór pasz dla inwentarza. Tymczasem obecnie tylko 24 procent gospodarstw chłopskich sporządza kiszonki, przy czym w województwach poznańskim i bydgoskim aż 65 rolników na 100 gospodarstw przygotowuje kiszonki, natomiast w województwach krakowskim i białostockim zaledwie w 5-6 gospodarstwach (na każdych 100) kisi się zielonki.

Aby pomóc rolnikom w rozwoju hodowli rząd zwiększył w bieżącym roku o 500 tysięcy ton dostawy cementu dla wsi, z tym, że gospodarstwa budujące silosy mają pierwszeństwo zakupu.

Jak widać z praktyki, w ostatnich latach przyjęły się silosy betonowe okrągłe — jako tanie, łatwe do wykonania i zajmujące mało miejsca. Plany takich typowych silosów, zatwierdzone przez Centralny Związek Kółek Rolniczych, można uzyskać za pośrednictwem agronoma gromadzkiego.

Wielkości zbiornika obliczamy według zapotrzebowania kiszonki. Przyjmując np., że jednej krowie będziemy dawać dziennie po 20 kg kiszonki, to w okresie zimowego żywienia (180 dni) zje ona 3 600 kg kiszonki. Ponieważ 1 m sześcienny kiszonki waży około 600 kg, więc na jedną krowę musimy przewidzieć 3 600 : 600 kg, 6 m sześciennych zbiornika (silosu).

Jeśli w gospodarstwie mamy sporo łąk i pastwisk, możemy budować mniejsze silosy, obliczając je tylko na 120 dni zimowego żywienia.

Warto podkreślić, że doskonałą kiszonkę można uzyskać nie tylko w betonowych silosach, ale również w dołach glinobitych, przykrytych daszkami, w zwykłych rowach o dobrze zabezpieczonych bokach i dnie (np. papierem siłosowym). Do wyłożenia ścian i dna rowu można użyć kamienia łupanego, cegły lub zwykłych pełnych kamieni. Jeśli nawet i tych materiałów brak nam w gospodarstwie, można wyłożyć ściany matami ze słomy lub nawet luźną, czystą słomą. Na glebach, w których wysoki poziom wód gruntowych nie pozwala na wykopanie dołu, robimy kopiec z kwaszonki na powierzchni.

W ostatnich latach niektóre kółka rolnicze i zakłady produkcyjne rozpoczęły wyrób gotowych elementów budowlanych dla wsi. Na przykład Rolnicza Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu w Orzeszu (powiat Tychy) produkuje płyty chodnikowe, kręgi studzienkowe, rury przepustowe, słupy ogrodzeniowe itp. W tym roku, aby jeszcze lepiej służyć rolnictwu, wytwórnia przystąpiła do produkcji silosów. Produkuje oparto na typowej dokumentacji zatwierdzonej przez CZKR. Silos składa się z elementów, które na miejscu w zagrodzie można samemu zmontować.

Z elementów wyprodukowanych w wytwórni w Orzeszu można budować pięć ro-

dzajów silosów o różnej wielkości, tj. zarówno okrągłe jak i elipsowate. Cena 1 elementu wynosi 32 zł. Jeżeli więc na 3-tonowy silos potrzebne są 24 elementy, to cały silos kosztuje zaledwie 800 zł. Nie wielki to wydatek w stosunku do korzyści, jakie daje magazynowanie pasz na zimę. Na wydatek taki może sobie pozwolić bez żadnego uszczerbku niemal każdy rolnik. Zwłaszcza, że dla ułatwienia budowy silosów Państwo umożliwia rolnikom otrzymanie dogodnego kredytu w wysokości do 2.000 zł, a sam kredyt może być spłacany zarówno dostawami żywności jak i mleka.

Zanim więc nadejdzie pora zbioru bujnie rosnących zielonek warto zastanowić się nad koniecznością przygotowania odpowiedniego zbiornika.

Inż. F. KOTOWICZ

Zaleganie u bydła

Schorzenie bydła określane jako przedporodowe zaleganie, powstaje na kilkanaście dni lub nawet na parę tygodni przed porodem. Zwiastunami jego są: niepewny, ostrożny chód zwierzęcia, chwiejność zadu, częste leżenie, utrudnione wstawanie, częste przestępowanie z nogi na nogę.

Poporodowe zaleganie występuje u bydła jako dalszy ciąg zalegania przedporodowego, albo powstaje samoistnie po porodzie, często nagle.

Schorzenia te wywołane są awitaminozą, rozmiękaniem kości, niedoborem mineralnym. Sprzyja chorobie brak systematycznego ruchu, zła pielęgnacja i złe żywienie, ciasne pomieszczenie.

Nasilenie schorzenia i możliwości wyleczenia zależą od przyczyn choroby, stanu odżywiania i ewentualnych powikłań. Przy schorzeniu, występującym na krótko przed porodem do około 14 dni i mniej — wyleczenie jest możliwe; przy schorzeniu dłużej trwającym — najczęściej wątpliwe. Przy zaleganiu po porodzie wyleczenie zwierzęcia jest możliwe w okresie 3 do 10 dni. Przy dołączających się powikłaniach schorzenie trwa dłużej i nierzadko kończy się zejściem śmiertelnym.

Pośród powikłań najczęściej występują: zupełne wyniszczenie organizmu zwierzęcia, odleżyny, wypadnięcie pochwy, zatwardzenia, niedowład przedśledzków i inne. Przy leczeniu tych schorzeń pamiętać należy przede wszystkim o usunięciu wywołujących je przyczyn. Dlatego uzupełnić trzeba braki w odżywianiu zwierzęcia przez podawanie dobrej, pożywej, lekkostrawnej paszy, zawierającej witaminy i sole mineralne; masować okolice lędźwi, zadu i kończyn. Rozcierać

wymienione miejsca preparatem Fluidosan w rozcieńczeniu 1:1, to znaczy do odpowiedniej ilości leku należy dodać taką samą ilość wody.

Pamiętać też należy o zapewnieniu choremu zwierzęciu odpowiedniej ilości ściółki, o obracaniu chorego zwierzęcia, podnoszeniu za pomocą powrozów lub aparatu podwieszającego.

Oczywiście wskazane jest wezwanie lekarza weterynarii, który po zbadaniu zwierzęcia zastosuje odpowiednie leczenie. Najczęściej przy tych schorzeniach podaje się preparaty wapniowe i witaminowe w formie zastrzyków domięśniowych lub dożylnych. Po zastosowaniu zastrzyków wyleczenie zwierzęcia następuje szybko, ale oczywiście tylko wtedy, gdy wezwanie lekarza weterynarii nastąpiło dostatecznie szybko po zachorowaniu zwierzęcia.

T. K.

**Radzimy
sobie,
wzajemnie**

Droga „Przyjaciółko”! Przy wielu oborach są studzienki lub inne zbiorniki na gnojówkę, którą wybiera się wiadrem. Jest to sposób niewygodny, bo trzeba się schylać, a także niebezpieczny, gdyż łatwo można się pośliznąć i upaść do zbiornika. Ja zrobiłam nad studzienką krzyżak, na którym umieściłam walek z korbą (taki jak przy studniach z wodą) i ciągnę gnojówkę bez trudu. Można też zamiast waleka zamoczyć nad studzienką bloczek; przy tym urządzeniu także łatwiej i bezpieczniej wyciągać gnojówkę.

T.S.
pow. Zawiercie

Kochana Redakcjo! Interesuje mnie bardzo hodowla trzody chlewnej i chętnie rozmawiam z sąsiadkami o żywieniu i pielęgnacji prosiąt. Niestety, nie zawsze możemy się dogadać. Ja mam dość dużo doświadczenia w hodowli prosiąt i nie mogę zgodzić się z poglądami, że prosiąt nie należy wypuszczać na powietrze, bo „prosiąt lepiej rosną”. Ponadto wiele gospodyń wyłamuje prosiętom kły, tłumacząc, że prosięta kaleczą wymię matki.

Hoduję prosięta w ten sposób: przed oproszeniem się maciory przegradzam zagrodę, wydzielając miejsce dla prosiąt. Nie boję się wówczas, że świnią je przygniecie i nie tracę czasu na ciągłe pilnowanie. Oddzielenie prosiąt ma także duże znaczenie dla regularnego karmienia.

Małym prosiętom nie żaluję wybiegu na powietrze i słońcu. Uważam, że tak chowane rosną szybciej, a więc taniej.

Stała Czytelniczka
z Lubelskiego

Droga „Przyjaciółko”! Kilrotnie już korzystałam z rad tego działu, co pozwoliło mi na usprawnienie codziennej pracy. Postanowiłam więc z kolei przekazać swoje spostrzeżenia innym czytelnikom.

Każda z nas stara się, aby mieć mieszkanie czyste, ładne i zdrowe. Ale nie zawsze nasze wysiłki dają rezultaty. Jedną z przywar wielu mieszkań jest wilgoć na ścianach. Czasami wilgoć utrzymuje się z powodu wadliwej konstrukcji budynku, ale równie często może być wynikiem posadzonych tuż przy domu drzew.

Przekonałam się o tym, kiedy widząc stopniowe niszczenie fundamentów ścięłam rosnący obok kasztan. Wraz ze ścięciem drzewa zniknęła ze ścian wilgoć, która pojawiała się co roku w jesieni i zimie.

Chciałam więc zwrócić uwagę na ten fakt, ponieważ często dla ozdoby sadzi się drzewa tuż przy domach i nieświadomie zaprowadza wilgoć.

A. W. pow. Złotów

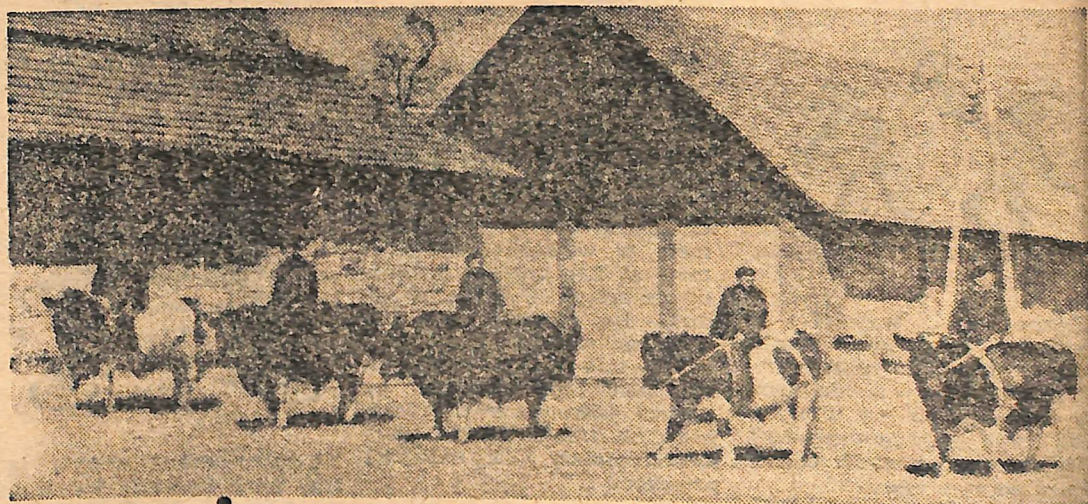
Autorkom listów redakcja przesyła nagrody.

Nie mów:

Pragłam

Mów:

Pragnęłam



Te okazałe buhaje należą do Państwowego Zakładu Unasienniania Zwierząt w Zagórzycach, pow. Brzesko. Zakład posiada 16 buhajów rasy nizinnej czarno-białej, w tej liczbie 9 sztuk z importu i 21 buhajów rasy polskiej czerwonej. Działalnością swą obejmuje powiaty: Bochnia, Brzesko, Nowy Sącz i częściowo powiat Limanowa.

Powiat Nowy Sącz i Limanowa są obslu-

giwane bezpośrednio przez Laboratorium Rozdzielcze Nasienia w Nowym Sączu, które należy również do Zakładu w Zagórzycach. Zakład od 1961 roku prowadzi inseminację bydła, a w najbliższej przyszłości ma rozpocząć również inseminację kłacz.

Plan zakładu na rok 1964 przewiduje unasiennienie 95.000 krów.

Foto: Kazimierz Sędzikowski

Miedzy nami

TRZEBIA WYCHOWAC

Artykuł, w którym M. Kozakiewicz omawiał wypowiedzi Czytelników na temat rodziny, wywołał fale listów. Zarówno od tych, którzy z uporem powtarzali swe przekonania o „gorszości mężczyzny”, jak i tych, którzy za głównego winowajcę wszelkich grzechów w małżeństwie uważają kobiety. Chcemy dziś zwrócić uwagę na nowy moment, który ujawnił się w tej dyskusji. Zilustrujemy go dwoma listami:

Pisze HALINA z Nowej Soli:

„...dlaczego ciągle mówicie tylko o tym, co żona ma do zrobienia w małżeństwie? Przecież połowa małżeństwa to mężczyźni. Oni też czytają „Przyjaciółkę”, a widząc wciąż tylko rady i wskazania dla żon, sami czują się zwolnieni od trosk o małżeństwo. Sama jestem porzucona przez męża i wychowuję dwoje dzieci. Mieście chociaż Wy liść nad nami i zainicjujcie narzeczone wychowywać naszych mężów, obudźcie w nich sumienia, nie uprawniajcie ich swoim milczeniem do wygodnej beczynności i bezczynności w małżeństwie. Przez Wasze pouczenia i morały, wciąż kierowane tylko do żon, rozgrzeszacie ich i bardzo ułatwicie trwanie w błogim samopoczuciu. Mężów można i trzeba wychować, jednakże same kobiety tego nie potrafią. Pomóżcie nam!”

Pisze CZESŁAW NIEDZIEWICKI z Budwił, woj. olsztyńskie:

„Ludzie nie rozumieją, że i mąż i żona muszą sobie współmałżonka wychować. Wstępne dobranie się małżeństwa to tylko początek, teraz muszą przysiąć lata docierania się i wzajemnego wychowywania, aż znikną wszystkie kany i ostrości między małżonkami. Mąż musi zrozumieć, że do jego obowiązków należy opieka nad żoną, dostarczanie środków utrzymania rodzinie, pomoc w pracy gospodarskiej żonie, pomoc w wychowaniu dzieci itd. Żona zaś musi zrozumieć, że do jej obowiązków należy wytworzenie w domu takiej atmosfery, aby jej małżonek nigdzie nie czuł się tak dobrze jak w domu. Jedno bez drugiego musi czuć się nieswojo, niekompletnie. I dalej, każdy szanujący się człowiek, obojętnie jakiej płci, powinien dbać o swój wygląd zewnętrzny, o kulturę bycia, o czystość itd. Stąd dziwię się p. Marii Wraga, że dopuściła do tego, by jej mąż „cuchnął” — jak pisała w liście. Czyżby był czystośnikiem przed ślubem, a potem dopiero w trakcie małżeństwa tak się zapuścił? Jeśli tak, to coś musiało nie grać z wychowaniem męża, albo fałszywy był wybór kandydata jeszcze przed ślubem.”

Nie trzeba wiele dodawać do tych listów. Istotnie, małżonkowie żalący się na partnerów często zapominają o tym, że w trakcie wieloletniego współżycia dwojga osób zachodzi nieustanny proces wzajemnego oddziaływania,

które Czytelnicy słusznie nazywają „oddziaływaniem wychowawczym”. Wychowuje współmałżonka to wszystko, w czym mu (jej) ustępujemy i w czym mu (jej) opieramy się, to co mu (jej) wybaczymy i czego się od niego (niej) domagamy, ale także to, z czego sami rezygnujemy dla niego i w czym go (ją) naśladowujemy. Małżeństwa, które opierają się na jednostronnym ustępowaniu jednego małżonka drugiemu, prowadzą do podziału na „panów” i „nie wolników”. Małżeństwa, które opierają się na wzajemnej nieustępliwości, są ciągłym pasmem awantur, żalów i pretensji („nie możemy się zrozumieć”). Jedynie słuszną drogą prowadzi, jak nam się wydaje, poprzez wzajemną gotowość czynienia ustępstw i szanowania prawa do odrębności z obu stron. Zyczliwa, solidarna, a nadto lekko usłużna postawa męża wobec żony i żony wobec męża wydaje się główną tajemnicą powodzenia udanych, trwałych i pogodnych małżeństw.

(MK)

Rodnice i dzieci

DALTONISTA

KAZIMIERA K. pisze: „Mój syn nie rozpoznawał kolorów gdy był malutkim. W szkole, w pierwszej klasie było jeszcze jako tako, ale już w drugiej zaczęły się trudności z rysunkami, z dobieraniem kolorów. Teraz w szóstym oddziale nauczycielka stwierdziła, że Adam jest daltonistą. Czy można dziecko z tego wyleczyć?”

Droga Czytelniczko! Daltonizm jest to wada w widzeniu barw. Daltonista nie dostrzega niektórych lub wszystkich kolorów. Najczęściej zdarzają się daltoniści, którzy nie widzą czerwieni i zieleni. Rzadziej tacy, którzy nie rozpoznają koloru błękitnego i żółtego. Wszystko co jest w odcieniu błękitnym widzą w barwach czarnych, a to co jest żółte — w białych. Najczęściej zdarza się trzecia odmiana daltonizmu — niedostrzeganie żadnego koloru z wyjątkiem barw neutralnych, czyli nie kolorowych. Tacy daltoniści widzą świat, jak na czarnobiałej fotografii. Daltonizm jest wadą wrodzoną, nieuleczalną. Przeważnie zdarza się wśród mężczyzn, bardzo rzadko występuje u kobiet.

Nieraz jest dość trudno dostrzec tę wadę. Jak już wiemy daltoniści niektóre barwy mogą widzieć prawidłowo i to wprowadza w błąd rodziców. Nawet ktoś nie rozróżniający jakichś kolorów, np. zielonego lub czerwonego, odróżnia niektóre ich odcienie. Poza tym daltonista może nauczyć się nazw barw. Wie, że krew jest czerwona, liście zielone i operuje prawidłowo tymi nazwami. Dopiero kiedy dostrzeże coś nowego, na przykład pierwszy raz widzi w lesie poziomkę — nie poznaje jej koloru.

Dziecko może do piątego roku życia nie rozróżniać barw. Nie ma w tym nic wadliwego. Jeśli jednak ma 7-8 lat i myli kolory, to już sygnał, że coś nie jest w porządku. Warto wtedy pójść do psy-

Czytelnicy pisać przyjaciółka

ODPOWIADA

chołoga lub lekarza szkolnego, bo rozpoznanie daltonizmu pozwala na prawidłowe ułożenie życia dziecka, takie, żeby nie odczuwało swojej wady.

Dobrze, że nauczycielka wykryła u Twego syna daltonizm. Jest w wieku, kiedy trzeba pomyśleć o wyborze szkoły zawodowej. Przy tym właśnie musisz się liczyć z jego daltonizmem. Nie wolno daltonistę kierować do szkół elektrycznych, mechanicznych, związanych w przyszłości z pracą na kolei, z pracą kierowcy, maszynisty itp.

Warto pamiętać też o tym, że dziecko - daltonista narazone jest na pewne niebezpieczeństwo przy poruszaniu się po dużym mieście. Może nie dostrzegać świateł na skrzyżowaniach. Trzeba nauczyć je ostrożnego przechodzenia przez jezdnię.

Lekarz odpowiada

CHORE SERCE

WANDA N. Z RZESZOWA pisze: „Którejś nocy obudziła mnie duszność, brak powietrza, później wystąpiły dreszcze i jak gdyby zeszywniały mi ręce i nogi. Trwało to 4 godziny. Po zastrzyku, który zastosował lekarz pogotowia, czułam się lepiej, lecz byłam tak osłabiona, że nie mogłam wstać z łóżka. Następnego dnia nie miałam już ataku. Duszność występuje jednak dość często, serce bije raz mocno i szybko, to znów powolnie i słabo, że wcale go nie czuję. Serce nigdy mnie jeszcze nie bolało, natomiast odczuwam lek, boję się czegoś.

Nigdy dotychczas nie chorowałam, mam dopiero 22 lata. Nie pale papierosów i nie piję wódki. Prześwietlenie wykazało, że mam serce powiększone nieco w lewo, w zakresie lewej komory. Co robić, aby pozbyć się tej choroby?”

ODPOWIADA
LEKARZ - INTERNISTA

Droga Czytelniczko! Powtarzająca się duszność przy stwierdzonym radiologicznie (prześwietlenie) powiększeniu lewej komory u osoby 22-letniej — to dowody uszkodzenia serca. Bez dokładnego badania lekarskiego nie można oczywiście wiedzieć, jaka jest przyczyna sprawy chorobowej i jaki sposób leczenia byłby w tym wypadku najbardziej właściwy. Niewątpliwie jednak dzięki odpowiedniemu leczeniu możesz całkowicie pozbyć się przykrego uczucia duszności.

U młodych osób najczęstszą przyczyną uszkodzenia serca jest przebiegała choroba reumatyczna. Niekiedy przebiega ona tak skręcie, że chorzy tej nawet nie zauważają i dlatego

nie leczą się (np. przemijające bóle stawowe, skłonność do potów, ogólne osłabienie, stany podgorączkowe). Po pewnym czasie, gdy samopoczucie jest już znacznie lepsze, zjawiają się dolegliwości sercowe. Badanie lekarskie wykrywa wówczas uszkodzenie serca. Czasem niezbyt zrównoważony układ nerwowy także przyczynia się do powstania dolegliwości sercowych.

A więc trzeba się leczyć. Radziw poprosi lekarza rejonowego o skierowanie do Poradni Kardiologicznej (dla chorych na serce). Lekarz specjalista zbada Cię i wyznaczy właściwy sposób leczenia.

ZŁAMANY NOS

STANISŁAW B. pisze: „Rok temu podczas gry w piłkę doznałem złamania kości nosowej, ale nie zgłosiłem się do lekarza sadzać, że „jakoś to będzie”. Niestety, nos uległ silnemu skrzywieniu. Wygląda okropnie. Co robić? Czy po tak długim czasie można jeszcze nos operować?”

JANINA Z. pisze: „Mam brzydki nos. Chciałabym zmienić jego kształt. Czy można wykonać zabieg chirurgiczny i gdzie?”

ODPOWIADA CHIRURG:

Złamanie nosa zwykle dotyczy przegrody składającej się z kości i chrząstki i polega na zmianie wzajemnego ustawienia tych elementów. Jeśli wkrótce po złamaniu (w pierwszej dobie) przemieszczono odłamki kostne nie są właściwie ustawione, zwykle dochodzi do skrzywienia przegrody, zmiany kształtu nosa i często znacznego zeszpeccenia. Poza defektem kosmetycznym złamany nos może być także przyczyną utrudnionego oddychania, utrzymujących się nieżytych gardła i nosa.

Leczenie złamanego nosa jest możliwe także w późniejszym okresie, jednak nie ma pewności, czy ostateczny wynik kosmetyczny będzie zadowalający; zwłaszcza, jeśli złamanie miało miejsce w wieku dziecięcym i nieprawidłowo ustawione części rosły, powiększając zniekształcenie. Operacje takie wykonywane są we wszystkich operacyjnych oddziałach laryngologicznych.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa operacji ściśle kosmetycznych, gdy chory chciałby tylko zmienić nieladny, jego zdaniem, nos. Nie jest to zabieg typowy i nie każdy laryngolog zajmuje się

kosmetyką. Zabiegi takie są czasem bardzo trudne technicznie.

Proponuję napisać do kliniki laryngologicznej Akademii Medycznej w Warszawie, załączając fotografie z profilu i zwykłe zdjęcie. W ten sposób można zasięgnąć fachowej porady w sprawie wykonalności, a także terminu zabiegu. Na pewno klinika w pierwszej kolejności przyjmie chorych wymagających leczenia, a dopiero w miarę możliwości może poświęcić czas na operacje plastycznie upiększające.

Porady prawne

ZWOLNIENIE Z OPLAT
SĄDOWYCH

LEON W. Z KOSZALINA pisze: „Mam pewne sprawy majątkowe z rodziną zmarłego ojca i ponieważ nie mogę z nią dojść do porozumienia, chcę wystąpić do sądu. Mówiono mi, że trzeba będzie wpłacić na koszty sądowe blisko 2 tysiące złotych. To dużo. Napisz mi, czy mogłbym być zwolniony od tych kosztów, bo trudno byłoby mi zapłacić taką kwotę.”

Zwolnienie od kosztów sądowych wymaga udowodnienia, że osoba ubiegająca się o to zwolnienie nie jest w stanie, bez uszczerbku dla siebie i rodziny, ponieść kosztów procesu (art. 111, § 1 kodeksu postępowania cywilnego).

Sąd Najwyższy (w postanowieniu z 5.III.1959 r. Nr 4 CZ 25/59) zajął w tej sprawie następujące stanowisko: koszty sądowe niekoniecznie powinien płacić tylko ten, kto po pokryciu kosztów utrzymania ma jakieś nadwyżki. Koszty sądowe winny być pokryte poprzez ograniczenie innych wydatków; o zwolnieniu zaś może być mowa wtedy, gdyby ograniczenia te łączyły się z uszczerbkiem dla utrzymania osoby, starającej się o zwolnienie od kosztów oraz dla rodziny tej osoby.

Takie są zasady. W każdej indywidualnej sytuacji decyduje sąd. Twoich szans przewidzieć nie możemy, nie znamy bowiem Twoich dochodów, ani stanu rodzinnego, ani tych wszystkich okoliczności, które musi wziąć pod uwagę sąd przy rozpatrywaniu wniosku o zwolnienie od kosztów sądowych.

SZKOLA MEDYCZNA
PIELĘGNIARSTWA PSYCHIATRYCZNEGO
w Bolesławcu, ul. Legnicka 30, woj. wrocławskie
OGŁASZA ZAPISY NA ROK SZKOLNY 1964/65.

Warunki przyjęcia: wiek 18-35 lat, ukończone 8 klas szkoły ogólnokształcącej. Przy szkole internat. Istnieje możliwość uzyskania stypendium. 0-219.

TV

31.V-6.VI BR.

NIEDZIELA: 9.00 Kurs rolniczy; 10.00 Reportaż z zamku Praskiego (Prah); 13.20 1000 lat w ciągu roku; 14.00 Filmy Al. Forda; 15.00 Niedzielną biesiadą; 16.10 Koncert Szopenowski; 16.40 Ziemia, ludy, obyczaje; 17.10 Teatr TV „Duch z zamku Conterville”; 17.55 Dziwy morza; 18.20 Sprawozdanie ze Spartakiady gimnastycznej; 19.20 Piosenka 20-lecia - Teleturniej; 20.30 Ludzie i zdarzenia; 21.00 „Bulwar Notre Dame” - film fr. (lat 16).

PONIEDZIAŁEK: 9.55 Wesele Figara (klasa IX); 10.30 „Po latach” - film radz.; 18.00 Miś z okienka; 18.15 Zrobimy to sami; 18.30 Przygody Robin Hooda; 18.55 Eureka; 19.25 Kino krótkich filmów; 20.40 Na starym pniu; 21.10 Studio literackie: „Maturzyści”.

WTOREK: 17.50 Kurier Warszawski; 18.10 Piękna nasza Polska cała; 18.55 Glob; 19.10 PKF; 19.25 Planety, gwiazdy, konstelacje

teleturniej; 20.40 Spiewa Anna German; 20.55 Klasa robotnicza dawniej i dziś; 21.25 „Po latach” - film radz.

ŚRODA: 9.55 „Dr Kildare”; 10.55 Kłopoty i megawaty (kl. VII); 11.55 Trwale, lekkie, kolorowe (klasa X); 18.00 Dzień dobry, koleżanki i koledzy; 18.40 Na zdrowie; 19.00 Zespół Guy Lombardo; 19.25 Ognia dziejów kultury; 20.40 „Dr Kildare”; 21.40 Światowid; 22.10 - Muzyczne 20-lecie.

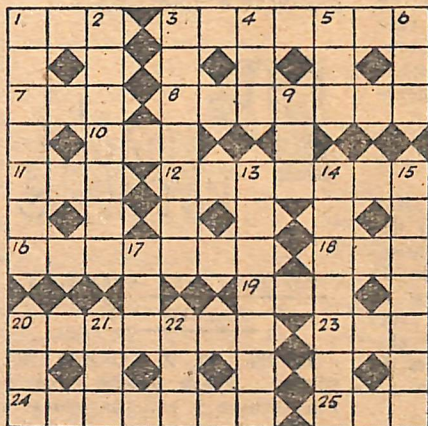
CZWARTEK: 10.55 Między chatą a dworem (kl. VI); 17.35 Wybieramy zawód; 18.05 Film; 18.20 Wychowanie fizyczne; 18.35 Kilka słów o programie TV; 19.25 Przemysł (dyskusja); 20.40 PKF; 20.50 Teatr Słins „Czarna komnata prof. Taratongi”.

PIĄTEK: 17.30 Nie tylko dla pań; 18.00 Wielokropek; 18.20 W pracowniach polskich uczonych; 18.50 Gwiazdy filmu niemiego; 19.15 Trzy oblicza chemii; 20.40 Film fabularny.

SOBOTA: 9.00 „Dobrane towarzystwo” - film fr.; 10.35 Organizacja roku szkolnego 1964/65; 10.55 Zwierzęta północy i południa (kl. VI); 11.55 Jak ludzie mieszkają (kl. V); 17.40 Program tygodnia; 18.00 Telefon 08 czuwa; 18.55 „Disneyland”; 19.40 Wieczorne rozmowy; 20.40 Kłaps; 21.10 Nasza chwila wspomnień - progr. rozrywk.; 22.10 „Dobrane towarzystwo” - film fr.

Dział zagadek

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1) na okręcie wojennym albo czasem na głowie kobiety, 3) ślad jaki zostawia koło wozu na miękkiej powierzchni drogi, 7) kwiat w powijakach, 8) polepszenie, reparaacja, 10) jest między antrakami, 11) produkt mleczny, 12) typ aktorki, 16) aparat do odtwarzania dźwięku utrwalonego na płycie gramofonowej, 18) włoski złoty, 19) nasz pierwszy reaktor atomowy, 20) współubieganie się o pierwszeństwo, 23) zbieg dwóch ulic, 24) pocisk łuczniczy, 25) szczeliwo.

PIONOWO: 1) roślina warzywna, 2) fantazyjny węzeł zrobiony z wstążki, 3) łączność, styczność, 4) pułapka na

muchy, 5) gatunek wierzby, 6) marka radioaparatów, 9) rzeka graniczna między Francją a NRF, 13) napaść w skali państwowej, 14) plaster, 15) zespół kilku maszyn, 17) kolor w kartach, 20) ptak śpiewający, 21) dopływ Warty, 22) stolica Baskirii.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie: „Dział zagadek”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną

nagrody książkowe

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 13 (836)

Poziomo: 1) Graz, 3) Rata, 7) Antresola, 8) Ser, 9) Alt, 10) Lew, 13) Autochton, 14) Arka, 15) Głon.

Pionowo: 1) Gwatemala, 2) Auto, 4) Amor, 5) Agamemnon, 6) Gerlach, 11) Stek, 12) Stal.

Nazwiska nagrodzonych:

1) Leokadia Bucka z Sosnowca; 2) Zdzisław Sawicki z Tarnowskich Gór; 3) Genowefa Tabak z p-ty Będzin; 4) Barbara Pardela z Wrześni; 5) Krystyna Bałaban z Międzyrzecza Podl.; 6) Jadwiga Czarniecka z Braniewa; 7) Irena Barańska z Leśmierz; 8) Joanna Skowron z Krakowa; 9) R. Domadziewicz z W-wy; 10) Kazimiera Kmiołkowa z p-ty Cieszyń.

OGŁOSZENIA DROBNE

NAUKA

Korespondencyjne kursy księgowości, stenografii, języków: Łódź 1, skrytka 297. OP-114

Korespondencyjne lekcje języków obcych. Informacje: Warszawa 1, skr. 68. OP-113

AN SIS

wyciąg ziołowy wypróbowany przeciw wypadaniu włosów, łupieżowi, uporczywym swędzeniom skóry, wysyła w cenie 63 zł płatne przy odbiorze

Wytwórnia

JÓZEF MARCINKOWSKI
Warszawa, ul. Sienna 41 m. 31
(podawać kolor włosów)

G-14

Zaoczne (korespondencyjne) kursy księgowości organizuje Oddział Poznański Stowarzyszenia Księgowych. Informacje: Poznań 4, skrytka pocztowa 1111. OP-90-4171

ROZNE

Elektromaszynki cichobieżne do oczek, na łożyskach kulkowych, z roczną gwarancją - 1.500 zł, igt wykonuje warsztat Krauze, Warszawa. Hoża 1. OG-32

Pasy przepuklinowe, lecznicze - „żółdkowe”, wysyła ortopeda Zieliński, Kraków, Stradom 11. O-205

Pięgów usuwanie, zapobieganie wypadaniu włosów - Gabinet Kosmetyczny, Warszawa, Wiejska 4. OP-112

Gabinet Kosmetyczny Jakubowskiej, Poznań, Marcinkowskiego 19 - zapobiega zmarszczkom, wypadaniu włosów, usuwa wszelkie nieczystości skóry twarzy: kremy odmładzające, przeciwzmarszczkowe, wybielające, przeciwpięgowo, przeciwlupieżowe. Dla zamiejscowych wysyła pocztą. O-422-2

Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

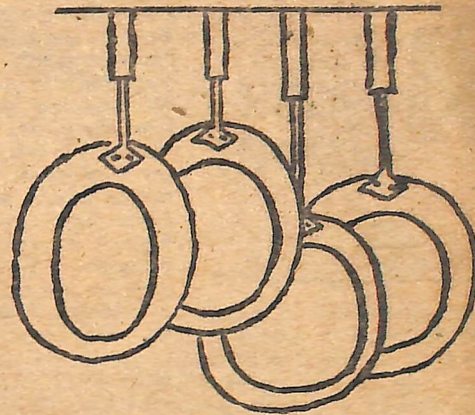
Redaguje Zespół. Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa”. Redakcja: Warszawa, ul. Wiejska 16, tel. 28-24-11, Redaktor naczelny tel. 28-05-83 z-ca redaktora naczelnego, tel. 28-03-49, sekretarz redakcji, tel. 21-41-47. Administracja - sekretariat 28-58-68.

Oddział w Łodzi, ul. Piotrkowska 90, oddział w Krakowie, ul. Skarbowa 4, oddział w Rzeszowie, pl. Zwycięstwa 3, oddział we Wrocławiu, ul. Podwałde 63. oddział w Olsztynie, pl. Wolności 1.

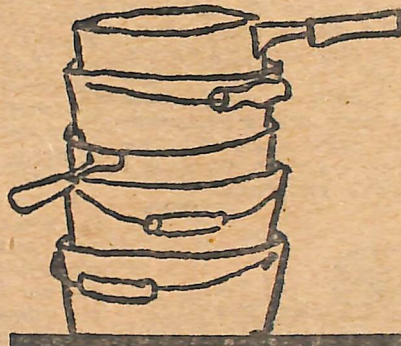
Ogłoszenia przyjmują: Krajowe Wydawnictwo Czasopism, Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 28-24-11 oraz Powszechna Agencja Reklamy, Warszawa, ul. Bagatela 14 i Poznańska 38.

Wszelkich informacji w sprawie warunków prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” i Poczty.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

NACZYNNIA KUCHENNE ZLEWY WANNY MUSZLE TOALETOWE



C Z Y S T E J A K N O W E I



dzięki zmywaniu płynem „G O S P O L U X” (cena 6 zł) i szorowaniu pastą „S A N O L U X” (150 g - 6.50 zł; 200 g - 7.50 zł) „GOSPOLUX” NIE NISZCZY RĄK! NIEZBĘDNY RÓWNIEŻ W KAŻDYM LABORATORIUM!

„SANOLUX” nie powoduje matowienia czyszczonych powierzchni! Do nabycia w drogeriach i sklepach z artykułami gospodarstwa domowego.

Powiatowa Wielobranżowa Spółdzielnia Inwalidów w Sokołowie Podl.

KOPALNIA WĘGLA KAMIENNEGO „ROZBARK” w Bytomiu, ul. Chorzowska 12

PRZYJMIE DO PRACY POD ZIEMIĄ każdą ilość robotników dołowych w wieku od 18 do 45 lat, którzy posiadają unormowany stosunek do służby wojskowej. Podejmujący pracę po raz pierwszy w górnictwie pod ziemią otrzymują:

1. Zamieszcowi - zakwaterowanie bez rodziny w Domu Górnika.
2. Wyżywienie w stołówce w Domu Górnika, kredytowane w okresie pierwszego miesiąca pracy.
3. Ubranie i buty robocze na własność, po czym koszt ich zostanie umorzony po 6 miesiącach nienaganną pracę.
4. Premię za nienaganną pracę: półroczną - 400 zł i roczną 800 zł.
5. Deputat węglowy dla żonaty i żyjących rodzin w wysokości 8 ton rocznie.
6. Płace wg obowiązującego w przemyśle węglowym Układu Zbiorowego oraz dodatków stabilizacyjnych w ciągu pierwszego roku pracy w wysokości 200 zł miesięcznie. Po przepracowaniu roku pracy premię kwartalną z „Karty Górnika”.
7. Dodatek za rozłąkę, dzień dojazdowy i zwrot kosztów podróży, jeden raz w miesiącu dla pracowników zakwaterowanych w Domach Górnika.

ZOSTAJĄC GÓRNIKIEM ZAPEWNIŁ SOBIE DOBRE OPLACALNY, ZASZCZYN I STAŁY ZAWÓD, A W STARSZYM WIEKU WYSOKĄ RENTĘ Z „KARTY GÓRNIKA”.

Na kopalni „Rozbark” istnieje możliwość podniesienia kwalifikacji zawodowych poprzez organizowane kursy różnych specjalności jak: cieśli, mł. rębaczy, rębaczy itp.

Przystępując do pracy w naszej Kopalni należy zabrać ze sobą dowód osobisty i książeczkę wojskową, względnie zaświadczenie z rejestracji wojskowej z adnotacją wymeldowania na pobyt okresowy do Bytomia oraz zaświadczenie z ostatniego miejsca pracy.

O przydział mieszkania rodzinnego można ubiegać się po nienagannym przepracowaniu jednego roku; istnieje również możliwość wstąpienia do Międzyzakładowej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Kosztów przejazdu do pracy Kopalnia nie zwraca.

Blizszych informacji udziela **DZIAŁ ZATRUDNIENIA I SPRAW SOCJALNYCH KOPALNI „ROZBARK” W BYTOMIU, UL. CHORZOWSKA 12.**

O-220

Dobra Gospodyni!

SZANUJE WSZELKIE DOMOWE ODPADY UŻYTKOWE

Zniszczona odzież i bielizna, stare swetry, odpady papieru i zużyte przedmioty z tworzyw sztucznych -
TO CENNE SUROWCE PRZEMYSŁOWE.

PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANO-INŻYNIERYJNE PRZEMYSŁU WĘGLOWEGO

w Rybniku, ul. Prosta 11

ZATRUDNI OD ZARAZ NA BUDOWACH KOPALN

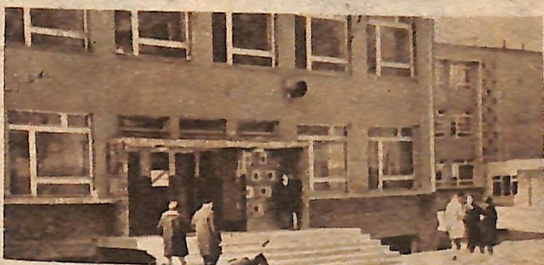
w Rybnickim Okręgu Węglowym

- każdą ilość pracowników niewykwalifikowanych, murarzy i cieśli
 - kierowców samochodowych z I i II kat. prawa jazdy na samochody oraz III kat. prawa jazdy na ciągniki
 - Wysoko kwalifikowanych ślusarzy warsztatowych i montażowych
 - spawaczy elektrycznych.
- Wynagrodzenie wg Układu Zbiorowego Pracy w budownictwie. W Przedsiębiorstwie istnieje możliwość otrzymania mieszkania dla pracowników o wysokich kwalifikacjach po roku nienaganną pracę. Dla zamiejscowych hotele robotnicze lub kwatery w domach prywatnych zapewnione.

O-221

...pierwsze
laczny spół-

...a tak wygląda nowa szkoła, która uczy
rocznie już nie dziesiątki, lecz setki przyszłych
działaczy.



NAŁĘCZÓW najnowszy

Wywiadówka... Ileż lęku budzi to słowo w nie-
jednym sztubackim sercu... W nałęczowskim
technikum ekonomicznym CRS ma ona jednak
zupełnie niecodzienny charakter. Ponad 90 proc.
uczniów mieszka tu bowiem w internacie, z da-
la od rodzinnego domu. Stąd też wywiadówka
to długo nieraz oczekiwane spotkanie z rodzi-
cami, a zarazem wzruszająca szkolna uroczy-
stość...

Założycielem szkoły, pod nazwą „Szkoła
spółdzielcza dla dorosłych”, był w 1929 roku
znany przedwojenny działacz spółdzielczości
rolniczej inż. Zygmunt Chmielewski. Dziś sta-
ry, malowniczo położony budynek (pozostał w
nim wydział zaoczny skupiający 1.500 słucha-
czy) ustąpił miejsca nowemu. 29 nauczycieli
(przed 35 laty było ich 3) wykładają tu w 12 sa-
lach lekcyjnych i 4 świetnie wyposażonych pra-
cowniach: chemiczno-fizycznej, towaroznaw-
stwa, organizacji i techniki handlu oraz rekla-
my. Słucha ponad 500 uczniów (w tym ponad
400 dziewcząt). Ponad 90 proc. to dzieci chłop-
skie, głównie ze wsi lubelskiej. Uczniowie z nie-
zamożnych rodzin otrzymują stypendium.

Taki jest obraz dzisiejszy nałęczowskiej szko-
ły. A kiedy zaczynało — dyrektor Paczos (kie-
ruje tą placówką od 1931 r.) dobrze te czasy
pamięta — jakże skromnymi dysponowano wa-
runkami. Niemniej od pierwszych chwil szko-
ła stała się kuźnią działaczy ludowych. I te
tradycje przyświecają do dziś pracy wychowaw-
czej szkoły.

Nałęczów... uroczyste, zapomniane dziś nieco
uzdrowisko. Cienistymi alejkami rozległego par-
ku przechadzali się tu niegdyś Prus, Zerom-
ski... Najnowszą historię miasteczka piszą zaś
dziś wychowankowie nałęczowskiej uczelni swo-
ją pracą nad przeobrażaniem polskiej wsi.



Oby każdy wiejski sklep był tak
zaopatrzony jak ta szkolna pra-
cownia.



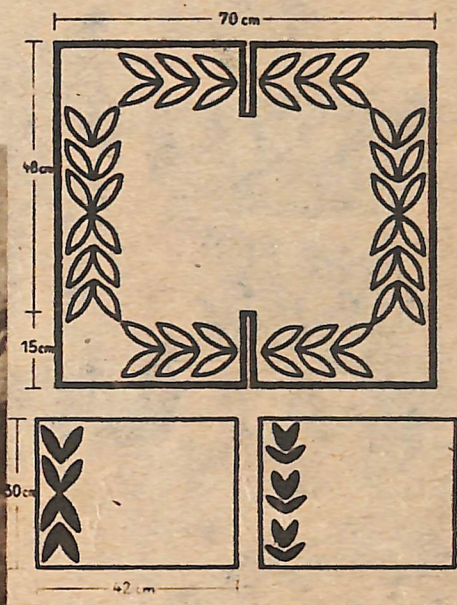
Utrata nóg, rąk, głowy, pęknięcie
kręgosłupa, brzuszka... Rodzaj „scho-
rzenia” zależy od temperamentu,
zamiłowań i ciekawości mamy —
właścicielki. Bo jak wiadomo, w
świecie lalek królują dziewczęta.
Od pierwszych niemal chwil życia
radośnie przygarniają do siebie
szmaciane, porcelanowe, gumowe
pociechy i nie rozstają się z nimi
nawet w wieku szkolnym. Niestety,
uczucia małych mam nie chronią
lalek od wyżej wymienionych nie-
szczęść.

Wszystkie lalczyne dolegliwości w
fachowych rękach lalkarza w klini-
ce — znikają jak pod dotknięciem
czarodziejskiej różdżki. Ukochany
połamaniec oddany do warszawskiej
spółdzielczej kliniki „Kiki” w stanie
opłakanym, przy odbiorze jest znów
najsłodszy. Ma „głowę na karku”,
mruży filuternie oczy i kokie-
tuje nową fryzurą.

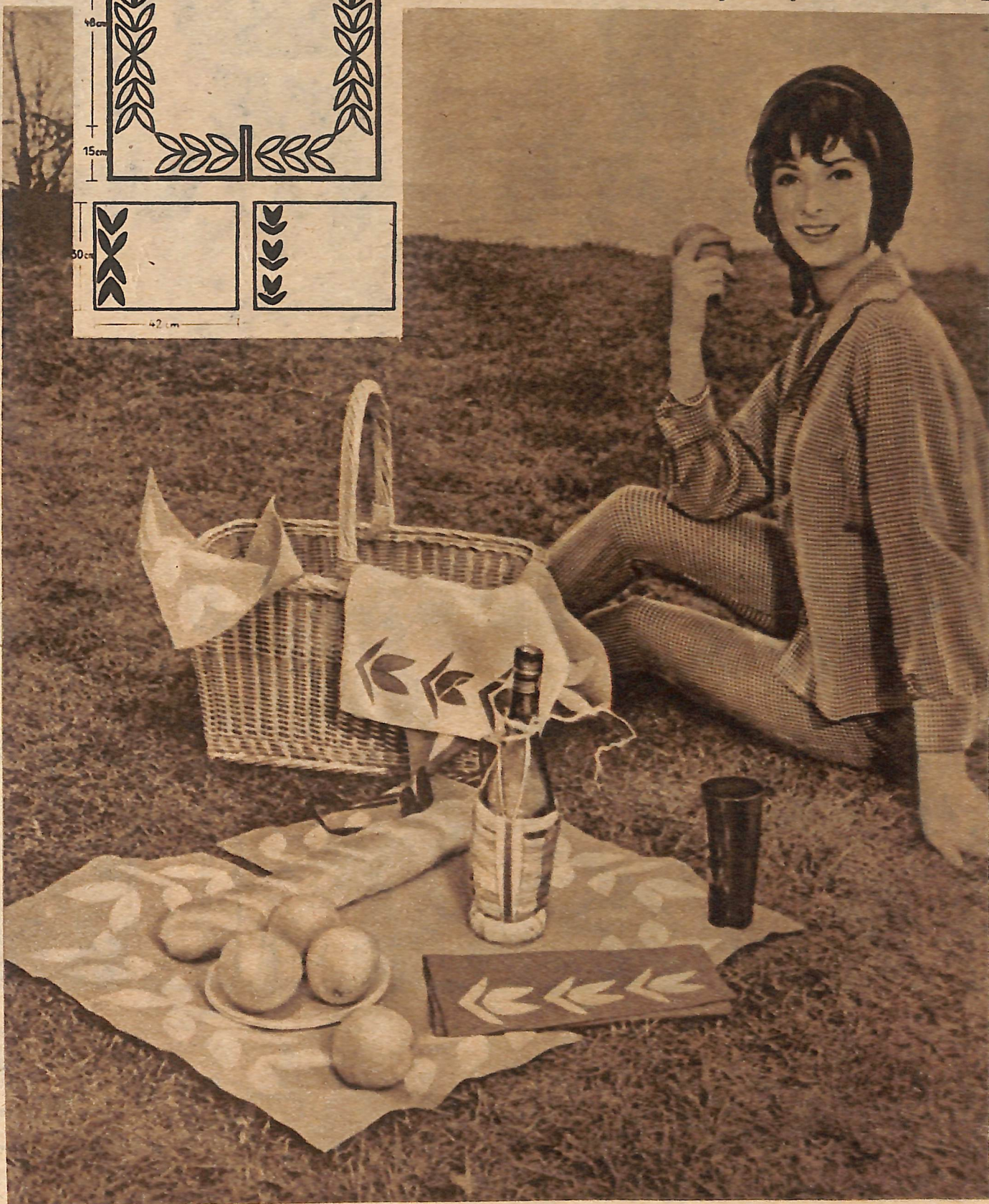
Kuracja taka wymaga jednak nie-
małego artyzmu, zręczności, wpra-
wy. Pęknięcie, czy brakujące ka-
walki ciała zalepia się masą. W za-
leżności od rodzaju „masy” — mię-
ką lub twardą. Masę tę modeluje
się, czasem rzeźbi przy pomocy mi-
sternych narzędzi. Potem ostatecz-
ne pociągnięcie pędzelka i pod cie-
niutką warstwą lakieru niknie ope-
racyjna szrama. Oderwaną głowę,
ręce umocowuje się przy pomocy
gumy. To zresztą jeden z najprost-
szych zabiegów. Włosy, to już bar-
dziej skomplikowana sprawa. Trze-
ba je dobrze umocować, estetycznie
dopasować, artystycznie uczesać.

Kierowniczka „Kiki” — Janina
Luttenberg w zawodzie lalkarza-re-
nowatora pracuje od wielu lat.
Swoje umiejętności przekazała Ja-
ninie Lesieckiej i teraz razem li-
kwidują lalczyne „nieszczęścia”.

Fachowców takich jest mało, kli-
nik dla lalek w niejednym mieście
brak. Sprawa chyba warta zastano-
wienia. Zainteresowane nią mo-
gą być amatorki pracy chałupniczej.
Zawodu można nauczyć się od pra-
cujących fachowców. Związek Spół-
dzielni Pracy, któremu podlegają
spółdzielcze „kliniki”, z pewnością
mógłby w tym pomóc.



APLIKACJA na kolorowym płótnie





MODA DZIECIECA

Załączone wykroje pomogą mamom szyjącym dla swych pociech i ich córeczkom, które z pozostałych skrawków materiałów mogą szyć stroje dla lalek.

Wykrój Nr 1-2-3. Dwurzędowe bolerko — kamizelka z długimi rękawami z materiału w barwną kratę.

Tyg. Für Sie.

Nr 3-4-5. Bluzeczka z przodkiem, ozdobionym pionowymi zakładkami, zapięta na całej długości tyłu, wykroj szyć wykończony rulonikiem ze skosu.

Nr 6. Połowa układanej spódniczki.

Nr 7-8. Pelerynka z kapuzą wykonana z ciepłego grubszego materiału lub z koca (dla dzieci i dla lalki z flaneli) ozdobiona barwną krajką.

Nr 9-10-11-12. Płaszcz z wełny w drobną kratkę, „pepitka” granatowo-biała, jednorzędowe zapięcie, mały leżący kołnierzyk „bebe”, dwie kryte kieszonki z klapkami.

Nr 12-13-14-15. Strój na chłodne dni, wełniana bluzeczka z długim koszulowym rękawem, ujętym w mankiet, zapięcie na całej długości przodu, mały leżący kołnierzyk „bebe”.

Nr 16-17. Długie spodenki z flaneli w kratkę „ogrodnicki”. Letnia chlopeczka z kretonu.

Nr 18-19-20. Biała bluzeczka z bufkami, zapięta z tyłu.

Nr 21-22. Staniczek do sukienki bez rękawów z głębokim dekoltem.

Nr 23. Połowa marszczonej spódniczki.

Nr 24. Połowa fartuszka wiązanego w taliu na kokardę.